Rok VI. Lwów, Niedziela dnia 10. Sierpnia 1879 r. Tom IX.

TYDZIEŃ POLSKI.

Nr. 28.

PRENUMERATA we LWOWIE
Rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr. 40 cnt.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:
KSIĘGARNIA POLSKA.
L. 14 plac halicki.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni J. K. Żupańskiego w POZNANIU. PRENUMERATA w POZNANIU: Kwartalnie 7 m. z przesyłką 8 m. 50 f.
We Francji, Anglji, Ameryce itd. kwartalnie 10 franków.
W Krakowie skład główny w Księgarni S. A. Krzyżanowskiego

PRZEZ STEPY.

OPOWIADANIE KAPITANA R.

Napisał

LITWOS.

(Ciąg dalszy).

IV.

Nakoniec przybyliśmy do Missouri. Indjanie wybierali zwykle chwilę przeprawy przez tę rzekę do napadów na karawany, albowiem najtrudniej bronić się wówczas, gdy część wozów na jednym brzegu, część w rzece, gdy zwierzęta pociągowe narowią się i opierają, a w ludziach powstaje zamięszanie. Jakoż wiedziałem, że, zanim doszliśmy do rzeki, zwiady indyjskie od dwóch dni szły za nami; przedsięwziąłem więc wszelkie środki ostrożności i tabor prowadziłem trybem zupełnie wojennym. Nie dozwalałem wozom rozwłóczyć się tak po stepie, jak na wschodnich okrainach Jowy, ludzie zaś trzymać się musieli w pobliżu i w zupełnej gotowości do boju. Przybywszy nad brzeg, po wynalezieniu brodu, kazałem oddziałom, złożonym każdy z sześćdziesięciu ludzi, okopać się na dwu brzegach, by w ten sposób, pod osłoną jakby małych fortów i luf karabinowych, zabezpieczyć sobie przejście. Pozostałych stu dziesięciu emigrantów miało przeprawiać wozy. Nie puszczałem więcej nad kilka wozów naraz, aby uniknąć zamięszania. Przy takiem urządzeniu wszystko odbywało się w największym porządku, a napad stał się niemożliwym, albowiem napadający musieliby zdobyć pierwej jedno lub drugie okopisko, zanim mogliby się rzucić na przebywających rzekę. Jak dalece ostrożności te nie były zbyteczne, przyszłość nas przekonała, albowiem w dwa lata później czterystu Niemców zostało w pień wyciętymi, w chwili przeprawy przez pokolenie Kiawatha, w miejscu gdzie dziś stoi miasto Omaha. Przytem miałem jeszcze i tę korzyść, że ludzie moi, przedtem słyszeli nieraz opowiadania, zalatujące aż na wschód, o strasznych niebezpieczeństwach przeprawy przez żółte wody Missouri, widząc pewność i łatwość, z jaką wywiązuję się z zadania, nabrali ślepej ufności i poczęli uważać mnie jakby za jakiego panującego ducha tych pustyń.

Pochwały te i uniesienia dochodziły codziennie do Lilian, w której rozkochanych oczach wyrosłem na bohatera z legendy. Ciotka Attkins mówiła jej: „Póki *your pole* (twój Polak) będzie przy tobie, możesz spać i na deszczu, bo on nie da cię zmoczyć. A dziewczynie mojej serce rosło od pochwał. Przez cały czas jednak przeprawy nie mogłem prawie chwili jej poświęcić, i tylko przelotnie oczami mówiłem jej wszystko, czego nie mogły wypowiedzieć usta; cały dzień byłem na koniu, to na jednym brzegu, to na drugim, to w wodzie. Pilno mi było ruszyć jak najspiesniej od tych gęstych, żółtych wód, niosących wieczyście przegniłe pnie, kupy liści, trawy i cuchnący ił z Dakoty, który zaraża febrą.

Obok tego ludzie byli niezmiernie znużeni ciągłem czuwaniem, konie zaś chorowały od niezdrowej wody, której i my nie mogliśmy używać inaczej, jak po przetrzymaniu jej kilka godzin na węglach. Wreszcie, po ośmu dniach czasu, znaleźliśmy się wszyscy na prawym brzegu, nie złamawszy ani jednego wozu, a straciwszy tylko siedm sztuk mułów i koni. Tegoż dnia jednak padły pierwsze strzały, ludzie moi bowiem zabili, a następnie, wedle ohydnego zwyczaju pustyń, oskalpowali trzech Indjan, którzy usiłowali się wsunąć między postój mułów. Wskutek tego wypadku, nazajutrz wieczorem przybyło w poselstwie sześciu starszych wojowników z pokolenia Krwawych-Śladów, należącego do szczepu Pawnee. Zasiadłszy z groźną powagą przy naszych ogniskach poczęli domagać się w nagrodę mułów i koni, zapowiadając, że w razie odmowy pięciuset wojowników uderzy na nas niezwłocznie. Ale ja z tych pięciuset wojowników nie wiele sobie robiłem, mając tabor już przeprawiony i obronny okopami. Wiedziałem dobrze, że to poselstwo tylko dla tego było przysłane, iż dzicy chwycili pierwszy powód by coś utargować bez napadu, w którego skuteczność stracili wiarę. I byłbym zaraz ich wygnał, gdyby nie to, żem Lilian chciał wyprawić z nich widowisko. Jakoż, gdy siedzieli nieruchomie przy ognisku rady z oczyma utkwionemi w płomień, ona spoglądała, ukryta za wóz, z trwogą i ciekawością na ich ubior ponaszywany w spojeniach włosami ludzkiemi, na toporki zdobne piórami przy rękojeściach, i na twarze, malowane czarno i czerwono, co oznaczało wojenne przygotowania. Mimo tych przygotowań jednak, odmówiłem stanowczo ich żądaniom, a przechodząc z odpornej w zaczepną niejako rolę, oświadczyłem, że jeśli choć jeden muł zginie z taboru, sam ich poszukam i kości ich pięciuset wojowników porozrzucam po całym stepie. Odeszli, tłumiąc z wysileniem wściekłość, ale odchodząc przerzucili swoje toporki nad głową na znak wojny. Jednakże słowa, które wyrzekłem, utkwiły w ich pamięci; gdy zaś w chwili ich odejścia dwustu moich ludzi, umyślnie przygotowanych podniosło się nagle w groźnej postawie i uczyniwszy chrzęst bronią, wydało okrzyk wojenny, gotowość ta głębokie na umyśle dzikich wojowników uczyniła wrażenie.

W kilka godzin później Henry Simpson, który z własnej ochoty poszedł był na przeszpiegi za poselstwem, wrócił cały zziajany, z wieścią, że znaczny oddział indyjski zbliża się ku nam. W całym taborze, ja jeden, znając na wylot obyczaje indyjskie wiedziałem, że to są puste groźby, bo Indjanie nie są w dość znacznej liczbie, by ze swojemi łukami, wyrobionemi z drzewa hicoro, wystąpić przeciw kentuckim dalekonośnym strzelbom. Powiedziałem to Lilian, chcąc ją uspokoić, bo drżała jak liść o mnie, ale wszyscy inni byli pewni, że walka nastąpi, młodsi zaś, których duch wojowniczy się rozbudził, pragnęli jej gorąco. Jakoż wkrótce usłyszeliśmy wycia Czerwonoskórych; jednakże

zatrzymali się na odległość kilkunastu strzałów, jakby szukając chwili sposobnej. Całą noc w naszym obozie płonęły ogromne ogniska, sycone drzewem bawełnianem i pękami misurskiej łoziny, mężczyźni trzymali straż koło wozów; kobiety ze strachu śpiewały psalmy; muły, nie wygnane jak zwykle, na nocny postój, ale zamknięte wozami, kwiczały i gryz'y się; psy czujące bliskość Indjan, wyły, słowem: gwarno i groźnie było w obozie. W krótkich chwilach ciszy słyszeliśmy żałosne złowróżbne skomlenia placówek indyjskich, nawołujących się głosem kojotów. Koło północy Indjanie usiłowali zapalić step, ale wilgotne wiosenne trawy nie chciały się palić, chociaż od kilku dni nie spadła ani kropla deszczu.

Objeżdżając nad ranem już placówki, znalazłem znowu sposobność zbliżyć się na chwilę do Lilian. Znalazłem ją śpiącą ze znużenia, z główką, opartą na kolanach poczciwej ciotki Attkins, która, uzbroiwszy się w „bowie“, poprzysięgła, że pierwej wygubi całe pokolenie Krwawych Śladów, zanimby jeden z nich śmiał się zbliżyć do jej pieszczotki. Co do mnie, wpatrywałem się w tę śliczną uspioną twarz z miłością nie tylko mężczyzny, ale prawie matki, i czułem narówni z ciotką Attkins, że poszarpałbym na szczątki każdego, ktoby temu mojemu ukochaniu chciał grozić. W niej była moja radość, w niej moje wesele, po za nią tylko włóczęga, tułactwo i przygody bez końca. Przed oczyma miałem najlepszy tego dowód: w dali step, szczęk broni, noc na koniu, walkę i drapieżnych zbójców Czerwonoskórych — blisko przy sobie sen cichy tej istoty lubej, a tak ufnej i wierzącej we mnie, że dość było jednego mego słowa, aby uwierzyła że napadu nie będzie i usnęła tak pewna bezpieczeństwa, jakby pod dachem ojcowskim. Gdym tedy patrzył na one dwa obrazy, pierwszy raz uczułem, jak mnie zmęczyło to życie awanturnicze, bez jutra, a zarazem poznałem, że uspokojenie wielkie i cichość tylko przy niej odnajdę. „Byle do Kalifornii! byle do Kalifornii! — myślałem sobie. — Ot! trudy podróży, której połowa, a i to łatwiejsza, dopiero dopełniona, znać już i na tej bladej twarzyczce, a tam nas czeka kraj śliczny, obfity i niebo ciepłe i wieczysta wiosna.“ Tak rozmyślając, przykryłem nogi śpiącej moim płaszczem, aby jej nie dokuczał chłód nocny i wróciłem na kraniec majdanu, bo od rzeki poczynała się podnosić mgła tak gęsta, że Indjanie istotnie mogli z niej skorzystać i popróbować szczęścia. Ogniska coraz przesłaniały się i bladły, a w godzinę później, na dziesięć kroków człowiek człowieka nie mógł zobaczyć. Poleciłem teraz co minuta okrzykiwać się placówkom, i wkrótce nic nie było słychać w obozie tylko przeciągłe: „all's well!“ które jakby słowo litanii, przechodziło śpiewane z ust do ust. Indyjski obóz zamilkł za to zupełnie, jakby tam ludzie poniemieli, co mnie poczynało niepokoić. Z pierwszym brzaskiem opanowało nas niezmierne znużenie, albowiem Bóg wie, ile już nocy większa część ludzi spędziła bezsennie. Przytem mgła dziwnie przenikliwa przejmowała chłodem i drżeniem. Rozmyślałem, czyby nie lepiej było, zamiast stać na miejscu i czekać co się Indjanom podoba zrobić — uderzyć na nich i rozegnać na cztery wiatry. Nie była to ułańska chętka, ale raczej konieczna potrzeba, bo śmiały i fortunny atak mógł nam zjednać głośną sławę, która raz rozszedłszy się między dzikiemi pokoleniami, zabezpieczyłaby nas na długi przeciąg drogi. Zostawiwszy więc stu trzydziestu ludzi, pod wodzą doświadczonego wilka stepowego Smitha, w okopisku, kazałem stu innym siąść na koń, i ruszyliśmy naprzód, trochę poomacku, ale z ochotą, bo chłód stawał się co raz dokuczliwszy, a tam można się było przynajmniej rozgrzać. Na odległość dwu strzałów rzuciliśmy się z okrzykiem w galop i wśród strzałów karabinowych wpadliśmy, jak burza na okopisko dzikich. Jakaś kula niezręcznego strzelca, wysłana z naszej strony, świsnęła mi koło samego ucha, ale zdarła mi tylko czapkę; tymczasem byliśmy już na karku Indjan, którzy spodziewali się może wszystkiego, ale nie napadu, albowiem pierwszy to był zapewne wypadek, aby podróżni sami szukali oblegających. Trwoga też oślepiła ich tak wielka, że rozpierzchli się na wszystkie strony wyjąc z przerażenia, jak dzikie zwierzęta, i ginąc bez oporu. Jeden dopiero mniejszy oddział, przyparty do rzeki, widząc zagrodzoną ucieczkę, bronił się mocno i tak zacięcie, że wojownicy woleli rzucać się w wodę, niż prosić o życie. Ich oszczepy z zaostrzonych rogów jelenich i tomahawki z twardego krzemienia nie były zbyt groźne, ale posługiwali się niemi z wielką zręcznością. Przełamaliśmy jednak i tych w mgnieniu oka, ja zaś osobiście wziąłem w niewolę jakiegoś rosłego drapichrusta, któremu, wydzierając w chwili walki toporek, złamałem razèm z toporkiem i rękę. Zabraliśmy kilkadziesiąt koni, ale tak dzikich i złośliwych, że nie było z nich pożytku. Jeńców, bez wyjątku rannych, znalazło się kilkunastu. Kazałem ich opatrzyć najtroskliwiej, a następnie na prośbę Lilian, obdarowawszy ich derkami, bronią i końmi, potrzebnemi dla cięższej rannych, wypuściłem na wolność. Biedacy ci, którzy w przekonaniu, że przywiążemy ich do pala mąk, poczęli już mruczeć swoje monotonne pieśni śmierci, byli z początku poprostu przestraszeni tem, co ich spotykało. Sądzili że puszczamy ich tylko dla tego, aby następnie wyprawić na nich obyczajem indyjskim polowanie widząc jednak, że naprawdę nic im nie grozi, odeszli, sławiąc męstwo nasze i dobroć Bladego-Kwiatu, którą to nazwą ochrzcili Lilian.

Dzień ten zakończył się jednak smutnym wypadkiem, który rzucił cień na naszą radość z tak znacznego zwycięstwa i jego przewidywanych skutków. Między mymi ludźmi nie było zabitych; kilkunastu jednak odniosło mniej więcej znaczne rany, najciężej zaś uszkodzony był Henry Simpson, którego zapalczywość zbyt unosiła w walce. Wieczorem stan jego pogorszył się do tego stopnia, że zaczął konać. Pragnął mi uczynić jakieś zwierzenia, ale biedak nie mógł już mówić, albowiem szczękę miał zgruchotaną toporkiem. Wybełkotał tylko: „Pardon, my captain!“ i zaraz porwały go konwulsje. Domyśliłem się, czego chce, przypomniawszy sobie kulę, która rano świsnęła mi koło ucha, i odpuściłem mu, jak na chrześcjanina przystało. Wiedziałem również, że unosił ze sobą do grobu głębokie, choć nie wyznane uczucia dla Lilian, i że prawdopodobnie umyślnie poszukał śmierci. Umarł po północy tegoż dnia, pochowaliśmy go zaś pod olbrzymiem drzewem bawełnianem, na którego korze wyciąłem nożem krzyż. (C. d. n.)

O BAJRONIZMIE W POEZJI POLSKIEJ.

STUDJUM LITERACKIE

napisał

JÓZEF TRETIAK.

(Dokończenie).

VI.

Za trzema wielkimi poetami, na których oddziałał prąd bajroniczny, ciągnie się cały szereg poetów drugiego, trzeciego i dalszych rzędów, których ten prąd objął, na których poezji wycisnął swoje piętno. Należą tu tak współcześni spiewakowi Grażyny, jak i późniejsi, dziś jeszcze żyjący i piszący poeci, ba nawet tacy, których karjera poetycka jest bardzo świeżą. Prąd bowiem bajroniczny, jakkolwiek od niejakiego czasu widocznie słabnący, nie ustał przecież zupełnie i dziś jeszcze nie tak trudno usłyszeć tony bajroniczne, tu i owdzie się odzywające.

Nie będziemy szczegółowo śledzić za oddziaływaniem tego prądu na pojedynczych poetów drugo i trzeciorzędnych; praca podobna za mały plon obiecuje, aby mogła zachęcić do siebie. Wystarczy tu ogólna charakterystyka tego wpływu, z pod której tylko tu i ówdzie wydobędziemy jakiś szczegół, domagający się osobnej wzmianki.

Jednakże i tu podział jest niezbędny. Mianowicie potrzeba odróżnić bezpośredni wpływ bajronizmu od wpływu pośredniego, albo, że go tak nazwiemy, mięszanego. Dawniejsi poeci, o których tu mowa, jak Garczyński, Magnuszewski, Olizarowski, ulegali tylko wpływowi poezji samego Byrona; późniejsi, a szczególnie ci co w ostatnich dwóch dziesiątkach lat stroili swoje lutnie, byli nie tyle echem poezji samego Byrona, ile następców jego: Musseta i Heinego.

Ztąd wypływa różnica pomiędzy dawniejszymi a późniejszymi bajronistami. Ogólnem tłem i tu i tam jest rozczarowanie, boleść, zwątpienie, ale u pierwszych uczucia te wyrażają się nieraz może naiwnie, ale z pewną siłą, której u późniejszych nie znaleźć. Szukają przytem dla siebie innego wyjścia, niż u naśladowców Musseta i Heinego.

Byron jest nieraz cynikiem i zmysłowym, ale cynizm i lubieżność odzywające się na wielostrunnej lirze jego, nie nadają głównego kolorytu całej jego poezji, są niejako przypadkowe, to jest przynajmniej o tyle, że nie płyną z temperamentu, a wywołane są chęcią walki z urzędową przyzwoitością świata. Ta chęć walki z całym światem, w którym poeta wszędzie widzi fałsz, obłudę i tyranję, jest duszą jego poezji, cynizm i zmysłowość to tylko broń, którą chwyta od czasu do czasu, ażeby nieprzyjaciołom zadać cios dotkliwy, żeby zedrzeć z ich czoła maskę obłudy, żeby pokazać im wreszcie ich niedołęźną sztuczność życia. Inaczej jest u Musseta i Heinego. Rozczarowanie i zwątpienie nie wywołują w nich wojowniczego zapału, który ożywia poezją bajrońską, ale jednego i drugiego, choć różnemi drogami, prowadzą do cynizmu i zmysłowości, jako jedynej pociechy, która synom ziemi pozostała po utracie dawnej wiary i dawnych złudzeń.

Dlatego to nasi dawniejsi bajroniści, wolni od wpływów Musseta i Heinego nie popadają nigdy w cynizm i zmysłowość a dla swej boleści i zwątpienia szukają innego rozwiązania na drogach narodowych lub religijnych. Takim jest Garczyński w swoim Wacławie, takim jest Oli-

zarowski w poemacie: Bruno. Wacław podobny jest do Kordjana, któremu, jako nieco starszy, za wzór może służył. Stracił on wiarę we wszystko i chęć do wszystkiego i w rozpaczliwem znajduje się usposobieniu, gdy patrząc na zabawy ludu w karczmie woła:

Oni się bawią — słyszę ich spiewy, ich tańce,
A pan wasz! — panu gdyby świat rozwiódł swe krańce,
Ciasnoby jeszcze było! — gdyby Rzym, trzy Rzymy,
Dla niego ogniem buchnął, roztoczył się w dymy,
Nudnoby jeszcze było! — gdyby nektar boski
Anieli w złotych czarach przynieśli mu z nieba,
Gorżkoby jeszcze było, — gdy oni — bez troski
Mając zaledwie codzień kęs suchego chleba
Świat w duszy ciasny, jak ich codzienne potrzeby,
Szczęśliwi i spokojni.

Gdyby przewodnikiem Garczyńskiego był tu Musset lub Heine, bohater jego szukałby zapewne lekarstwa na manfredoniczną boleść swoją w szumach pieniącego się wina, w objęciach bachantki, z którychby wyszedł zbydlęcony wprawdzie i z cynizmem na ustach, ale spokojniejszy. Wacław za czysty i za dumny na to; co innego wyrywa go z przepaści zwątpienia i rozpaczy. Odezwała się nuta marszu Kościuszki i Wacław nagle

Uczuł, że ma ojczyznę — wspomniał, że Polakiem.

Uczucie to, jak potok długo więziony w ziemi, trysnęło odrazu z całą siłą: „Ojczyzna! — krzyknął Wacław — ...póki stanie ręki, ręka do niej należy — póki myśli stanie, myśli jej niechaj będą“. Nie widzimy go wprawdzie na drodze czynu, ale to tylko dlatego, że poeta dał nam jedną tylko część Dziejow Wacława, jego młodość, dalszej zaś zapowiedzianej nie napisał, kierunek jednak tej części, o którą nam tu głównie chodzi, widoczny jak na dłoni.

W poemacie Olizarowskiego, w którym choroba wieku wcielona w bohatera bardzo mglisto się zarysowuje, rozwiązanie jest wprawdzie bardzo naiwne, ale również harmonijne, dodatnie. Bruno, „marzeń dzikich potępieniec“, dręczony podwójną rozpaczą, miłością bez wzajemności i wyrzutami sumienia z powodu zabójstwa przyjeciela, znajduje uspokojenie na drogach religijnego mistycyzmu i wraca do świata pokrzepiony i pogodzony. Miłość jego do Kamilli jest tak idealną, że nawet snom złorzeczy, jeżeli te śmią jego ukochaną „wytrącać z anielskiego rzędu.“

Młodsze pokolenie bajronistów potrąca te same struny, boleści, zwątpienia, zniechęcenia, ale tony z tych strun dobywane słabsze już są, nie mają już tej siły wyrazu, jaką się przedtem odznaczały. Możnaby tu bajronizm porównać do choroby zapalnej, która nie została wcale uleczoną, ale wydaje się słabszą dlatego, że przeszła w stan chroniczny. Sceptycyzm stał się chlebem powszednim, na którym się wykarmiło młodsze pokolenie poetów. Nie wywołuje on już straszliwych rzutów i targań się, nie szuka rozwiązania na drodze narodowej lub religijnej, poprzestaje na bezsilnych jękach i skargach, wreszcie, czego przedtem nie bywało, porzuca czasem ton minorowy, aby zrobić jakiś grymas cyniczny lub zatoczyć się w sensualizm. Miłość kobiety, która w poezji dawniejszych bajronistów płonęła wielkim ogniem, co miał niszczącą, ale i twórczą zarazem siłę, która była źródłem wielkich rozpaczy i rozkoszy, w naszej poezji bardzo często służy za przedmiot ironji i żartu.

Charakterystyczną jest także cechą tego neo-bajronizmu, że nie wciela się on w żaden większy poemat treści epicznej, lub dramatycznej, ale wylewa się tylko w krótkich lirycznych ustępach. Zda się, że brak mu dłuższego oddechu. W istocie na żal, skargę lub ironję dość jest kilkudziesięciu wierszy, żadnego zaś problematu ważniejszego neo-bajronizm nie usiłuje rozwiązywać.

Jednakże nie można powiedzieć, ażeby dawniejsze tony harmonijne, dodatnie, aspiracje patrjotyczne i religijne, zupełnie umilkły w naszej neo-bajrońskiej poezji. Odzywają się one wprawdzie słabo, jakby dalekiem echem tonów, które grały przed czterdziestu laty, ale się odzywają, a tem więcej zasługują na uwagę, że znajdujemy je w poezji najpopularniejszego z młodszych poetów i jednego z przedstawicieli neo-bajronizmu, którego imię zyskało szerszy rozgłos, to jest w poezji Asnyka. W jego wierszach „Pod stopy krzyża“, „Rodzinnemu miastu“ i w niektórych późniejszych, co nie weszły jeszcze w dwutomowe wydanie jego poezji, czuć słaby, ale orzeźwiający powiew pogodniejszych uczuć. Jestto wprawdzie nic innego, jak rezygnacju, ale rezygnacja miłości, a nie zobojętnienia.

Poezji Asnyka nie można też zrobić zarzutu cynizmu i zmysłowości. Wprawdzie na wymuskanych, gladkich wierszach jego czuć wpływ Musseta i Heinego, przedewszystkiem Musseta, wprawdzie widać w nich czasem silenie się na cynizm, ale ten cynizm jest tak niewinny, tak oględny, że co najwięcej zasługuje na nazwę epigramatu. Po za tem poezja Asnyka podchodzi zupełnie pod ogólną charakterystykę neo-bajronizmu, wyżej podaną. Głównym tonem, który nadaje koloryt tej poezji, jest zwątpienie, żal za utratą ideałów, skarga na próżnię i jałowość życia. Ale ból nie wybucha tu gorącą lawą, a tylko sączy się ciągle w przydługich nieraz refleksjach, szemrząc nieustannie skargę, którą poeta wypowiada w swojem i w ludzkości imieniu:

Po co ja żyję, umieram i cierpię?

Tak więc prąd bajroniczny do dzisiaj nie przestał oddziaływać na naszą poezję, jakkolwiek siła jego znacznie osłabła. Czy wpływ ten w ogóle wzięty był dobroczynnym, czy szkodliwym? Pod tym względem były u nas, i do dziś jeszcze są różne zdania. Zaraz po pojawieniu się bajronizmu występował przeciw niemu z całą szczerością przekonania Brodziński, a nie tak dawno jeszcze uderzał nań, bezwzględnie go potępiając, Siemieński w swoim żywocie Franciszka Morawskiego. Za to miał Bajron potężnego obrońcę w Mickiewiczu, dla którego był tem w dziedzinie poezji, czem Napoleon w polityce. Przeciwnicy bajronizmu mieli mu do zarzucenia, że zamiast zdrowych, dodatnich bohaterów, wprowadzał wzory chorobliwe, ujemne; zwolennicy Bajrona mając ucho prawie wyłącznie dla głównego tylko tonu poezji Bajrona — walki z tyranją, rozgrzeszali bajronizm ze wszystkich zarzutów.

Prawda, jak zawsze, tak i tym razem zdaje się być pośrodku. Bez wątpienia bajronizm zbyt wyciągnął strunę indywidualizmu i wydobywał z niej czasem tony fałszywe, a przynajmniej zbyt dzikie i rażące; bezwątpienia dawał wzory ujemne, zatruwał wiarę sceptycyzmem; ale naprzód, co się tyczy indywidualizmu, jakkolwiek przeciągnął tę strunę, wydobył jednak z niej przedtem niemal wszystkie potężne i pełne dźwięki, jakie się dadzą z niej wydobyć; powtóre, malując ujemne charaktery swoich bohaterów, przedstawiał je na tle ciemnych stosunków społecznych i to w taki sposób, że były one tylko niejako protestacją przeciw tym stosunkom. Sceptycyzm wreszcie był chorobą wieku i musiał wejść do poezji, jeżeli ta miała streszczać w sobie uczucia i dążenia współczesnej ludzkości. Porównałem już raz bajronizm do chmury; do porównania tego raz jeszcze wracam, ponieważ najlepiej charakteryzuje ono znaczenie bajronizmu. W istocie był on chmurą czarną i groźną, burzą siejącą błyskawicami i piorunami, grożącą zniszczeniem i zalewem, ale jak każda podobna burza, oczyszczał powietrze od duszących wyziewów i użyźniał pola, nad któremi przeciągał. Nadzwyczajną bujność poezji naszej w początkach epoki romantycznej jemu w znacznej części przypisać trzeba.

KONIEC.

POCHODZENIE
Wołochów czyli Rumunów.

przez

ALEKSANDRA MORGENBESSERA.

(Ciąg dalszy.)

II.

Ale, nie dość na tem, że są dowody rzeczywistego opróżnienia tych krajów przez Rzymian, są prócz tego dowody, że ich w tych stronach przez następnych 1000 lat nie było. Nie ma bowiem o nich ani śladu w historji. Nie ważyło by to samo przez się wiele, bo i o innych ludach historja milczy, choć w rzeczywistości istniały. Ale jeżeli historja milczy w takich warunkach, w takich okolicznościach, w którychby wzmiankować o nich musiała, gdyby rzeczywiście istniały, to już o nie istnieniu takowych wątpić się nie godzi. A właśnie milczy historja o istnieniu Rzymian czy pod tem nazwaniem, czy pod mianem Rumunów czy Wołochów w okolicach na północy Dunaju, w takich okolicznościach, że zamilczeć by ich nie mogła, gdyby się tam znajdowali.

Nim jednak przystąpimy do zbadania tych okoliczności, pytamy z Röslerem tych, którzy utrzymują jako Rzymianie z Dacji przed zbliżającymi się barbarzyńcami pouciekali w góry, chroniąc tam swe życie i wolność, również tych co twierdzą, że koloniści rzymscy pomimo najazdu barbarzyńskich narodów, na swoich miejscach pozostali, co mogło spowodować tych kolonistów przywykłych do różnych potrzeb rzymskiej kultury, wybrać życie w pustyniach, zamienić życie miastowe i rolnicze na tułaczkę pasterzów, zamiast udać się pod skrzydła rzymskich legjonów w kraje, w rzymskim duchu uorganizowane i oświecone, gdzie dalej mogli osiadać po miastach, lub rolnemu oddawać się zajęciu?

Czyż podobna aby mogli ostać się na miejscu już jeżeli nie w obec dzikich Gotów, to przecie wobec okrótnych Hunów, przed którymi nawet mężnych i orężnych Gotów tak okropny strach przejął, że z największym pośpiechem pierzchnęli przed nimi z dawnej Dacji, za Dunaj, w granice państwa Rzymskiego. Czy Rumuni poddali się Hunom i im służyli? Ależ historja wymienia wszystkie narody, z którymi Hunni występowali w swych bojach z innemi narodami, a o Rzymianach, Rumunach, lub Wołochach nie ma tam ani śladu. Czy się ukryli? Ale co to za naród co się przed światem przez 1000 lat ukrywać może, chyba drużynka kilkusetna a i ta

*

nie na długo by się ukryła, bo rozrodziwszy się musiałaby wyjść z swoich kryjówek.

Gdyby Rumuni byli Rzymianami, zachowałyby się u nich prócz dźwięków językowych, tradycje rzymski zwyczaje, wyobrażenia prawne rzymskie, instytucje municypalne, sposób wojowania rzymskie, pociąg do kościoła zachodniego, gdy przeciwnie dziwną mają odrazę do kościoła katolickiego, i najmniejszego śladu kultury łacińskiej. Gdyby na tle rzymskiem zaszczepione były cechy innych narodów, proces asymilacyjny odbyłby się podobnie do tego jak we Włoszech, Hiszpanji, Francji, a tu widocznie nie pokład był rzymski, tylko tynk powierzchowny.

III.

Historycy podają nam różne relacje poselstw bizantyńskich do obozu Hunów odprawianych, jest tam wzmianka o różnych narodowościach w skład państwa Hunów wchodzących, tylko o najsławniejszej t. j. rzymskiej narodowości wzmianki tam nie ma, bo jej tam nie było.

Po Hunach panowali w starej Dacji, Gepidy. Historycy, a mianowicie Jordanes wymieniają narody Gepidom podległe, ale o Rumunach żadnej tam nie ma wzmiaki. Po Gepidach nastąpili Awary w panowaniu nad krajami na północy Dunaju. I w tej epoce, w której słychać o różnych najdrobniejszych odłamkach narodów w skład państwa Awarów wchodzących, o Rumunach panuje głębokie milczenie, a przecież ludność liczna, z kulturą łacińską nie mogłaby pozostać niepostrzeżona przez historyków, nie mogłaby zostać bezczynną, bierną, bez żadnego wpływu na losy tych okolic. Później panowali tu Słowianie, naród łagodniejszy od poprzednich lecz również nie oświecony. Dla czego nawet w tej epoce nie wystąpili Rumuni na widowni historji, która o nich uporczywe zachowuje milczenie? Toż samo i w czasie panowania Bułgarów. Kiedy po wywróceniu państwa Awarów przez Franków ujarzmione przez tych pierwszych narody uwolnione z gniotących ich okowów wracały do samoistnego życia w dziejach świata, słychać o wszystkich dawniej przez Awarów podbitych narodach, mniejszą lub większą rolę w zdarzeniach odgrywających, ale o Rumunach, pod jakąkolwiekbądź nazwą nie ma najmniejszej wzmianki, więc nawet o znikczemnionych Gepidach słyszy świat, tylko nie o Rumunach!

Po Bułgarach panowali w Dacji trojańskiej, Magyary, a po nich Pieczyngi i Kumani czyli Połowcy. Głośno o ich bojach, o ludach przez nich ujarzmionych, ale o Rumunach znów milczenie, a przecież cesarz Konstanty Porfirogenita opisywał dokładnie te kraje, nie mógłby przeoczyć Rumunów gdyby tam byli.

W 11 stóleciu zajęli Magyary stale ziemię Ultrasylvana czyli Transylvania, Siedmiegrodź w granicach dawnej Dacji położoną, gdzie dziś Rumuni są w większości. Że zaś w 11 stóleciu ich tam nie było widać ztąd, że Węgry w celu zaprowadzenia jakiej takiej kultury i obrony przed Kumanami musieli aż z Turyngji i Saksonji sprowadzać osadników, czego czynić nie potrzebowali, gdyby mieli Rumunów na miejscu.

Również w 12 stóleciu gdy o stosunkach siedmiogrodzkich liczne po kronikach są wzmianki, o Rumunach nic nie słychać. I jakże mogło o nich być słychać, gdy okolice dziś Wołochami napełnione, podówczas, to jest w 11 i 12 stóleciu zwały się pustkami. Tak okolica nad rzeką Cybinem darowana Sasom, a dziś w większej połowie przez Wołochów zajęta, zwała się podówczas *pustynią*. Również ziemia Borsza w r. 1211 krzyżakom nadana a nieco później Wołochami napełniona stała podówczas pustką.

Przejdźmy do nazwisk miast. Gdyby Rumuni ciągle Dację zamieszkiwali, musiałyby się utrzymać nazwy miast rzymskich, powstawałyby nowe miejscowości z nazwiskami rumuńskiemi. Tymczasem wszystkie nazwy miast rzymskich wyginęły, a rumuńskie nie powstały. Odkąd Węgry zajęli Siedmiogród i na sąsiednie krainy wpływ wywierać poczęli, pojawiają się dokumenta, w których jest wzmianka miast i innych osad, ale żadne z nich nie nosi nazwiska łacińskiego lub rumuńskiego, po największej części są te nazwy słowiańskie. Nawet w dzisiejszej Mołdawji i Wołoszczyźnie nie znajdujemy aż do 14 stólecia żadnego miasta z nazwą rumuńską.

IV.

Nie mniej stosunki kościelne utwierdzają nas w przekonaniu, że między 3 i 13 stóleciem znaczniejszej ludności rumuńskiej na północy Dunaju nie było.

Że w 2 stóleciu mnogo już w państwie rzymskiem było zwolenników religji chrześciańskiej, znajome jest z historji kościelnej; nie podpada więc wątpliwości, że między osadnikami Dacji trajańskiej religja Chrystusa miała swoich zwolenników; kościół podówczas był jeden, to jest rzymski, greckiego jeszcze nie znano. Jeżeliby więc koloniści rzymscy i po czasach cesarza Aureljana w Dacji pozostali, to musiałaby tam z nimi pozostać także religja rzymsko-chrześciańska, której jednak między Rumunami nie było; pierwsze bowiem wiadomości, jakie o nich mamy, nazywają ich zwolennikami kościoła greckiego, któremu i dziś hołdują. Ale nie tylko rzymskiego, ale żadnego w ogólności chrześciańskiego kościoła nie było w dawnej Dacji, aż do 13 wieku. W 4 bowiem stóleciu Ulfilas Wizygota chcąc ziomkom swoim w Dacji mieszkającym zaszczepić religję chrześciańską, musiał aż do Konstantynopola jeździć po święcenia, gdy, mając chrześcian Rumunów pod bokiem byłby mógł od nich przyjąć tę wiarę.

Po roku 1000 odbywał misję do Pieczyngów w Dacji trojańskiej biskup Bruno w celu nawrócenia tychże na wiarę Chrystusa. W liście do cesarza Henryka II. pisanym maluje w czarnych farbach tamtejsze stosunki, dzikość barbarzyńców, gdzie podczas 5 miesięcznego apostołowania zaledwie 30 owieczek zyskał dla owczarni Chrystusowej. Gdyby był pośród tych barbarzyńców zastał ludność cywilizowaną, wiarę chrześciańską wyznawającą, bez wątpienia nie byłby o niej zamilczał.

Gdy Madiary w Panonji i w części starej Dacji się usadowili, z dalekich stron, bo z Niemiec i z Grecji wysyłano do nich apostołów w celu nawrócenia ich na łono wiary chrześcijańskiej. Chan ich Bulczu jeździł aż do Konstantynopola po chrzest, toż samo uczynił Gylaj Dewix. Achtum zaś w Widyniu został ochrzczony. Czemu więc Rumuni chrześcianie, jeżeli w Dacji mieszkali, a więc najbliższymi sąsiadami Madiarów byli, nie wywierali na nich najmniejszego wpływu w celu ich nawrócenia? Czy tylko kler rumuński nie poczuwał się do misji apostolskiej? Nie poczuwał się, bo go nie było; nie było bowiem podówczas i Rumunów w Dacji.

Kumanów nawracali to misjonarze węgierscy to Franciszkanie i Dominikanie, czegoż nie Rumuni jeżeli śród nich mieszkali?

Po utworzeniu hospodarstwa wołoskiego czyli mołdawskiego pokazało się, że Wołosi nie mieli własnego biskupa, uznali więc biskupa ruskiego w Haliczu za głowę swego kościoła.

Wojewoda Lacko zaś przyjąwszy obrządek łaciński założył w Serecie w r. 1370 biskupstwo łacińskie, ale już książę Aleksander dobry (panował od 1399—1433) wrócił do kościoła greckiego i poddał się Metropolji w Ohrydzie w Bułgarji, zkąd otrzymał biskupów i liturgję słowiańską. Jeżeli więc Rumuni ciągle zajmowali Dację i byli chrześcianami, zkąd więc pochodzi, że aż do schyłku 14 stólecia nie mieli własnej hierarchji kościelnej, zkąd ta grawitacja ku Ohrydzie w Bułgarji? (C. d. n.)

KRONIKA NAUKOWA.

B. Abakanowicza.

(*Przenoszenie siły na znaczne odległości. Zjawiska elektryczne na Saharze. Wybuch Etny z d. 29. Maja br*).

W ostatniej Kronice naukowej, mówiliśmy o możności przeniesienia siły na większe odległości, przy pomocy prądu elektrycznego, i rozbieraliśmy korzyści jakie ztąd wyniknąć mogą, szczególniej tam, gdzie siły przyrody marnieją bezużytecznie dla człowieka i jego celów. C. William Siemens obliczył, że siła spadku Niagary równa się siedmnastu milionom koni parowych, a tymczasem cała ta siła zużytkowywa się na dłubanie koryta pod wodospadem i na podnoszenie temperatury spadającej wody o mały ułamek jednego stopnia. Żeby człowiek chciał sztucznie wytworzyć taką siłę potężną, to musiałby spalić w jednym roku 260 milionów tonn (= 1000 kilo) węgla kamiennego czyli prawie wszystek węgiel, który się w jednym roku na całej kuli ziemskiej dobywa.

Otóż, jeśliby zdołano wyzyskać siłę spadku Niagary, jak wyzyskują w tartakach i młynach siłę spadku małych strumieni, jak doniosłe i jak nieocenione otrzymanoby ztąd korzyści! Lecz na jednem miejscu byłoby tej siły za wiele, chybaby zbudowano nowe wielkie fabryczne miasto w około, zużytkowujące cały zapas dostarczony przez Niagarę. Daleko korzystniejszem by było, gdyby zdołano przesłać ten zapas chociażby ze znaczną stratą do centrów fabrycznych znajdujących się w dalszej okolicy.

Proponowano w tym celu, jak już o tem wspominaliśmy, zastosowanie prądu elektrycznego. Wodospad działałby na potężne machiny magneto-elektryczne, wytwarzające prąd, który po odpowiedniej grubości przewodniku przebiegałby do fabryki i tam w elekromotorze zamieniałby się napowrót w ruch obrotowy. Największą trudnością w urządzeniu takiej kombinacji, byłoby naprzód uchwycenie w karby wodospadu, a potem ustawienie przewodnika, któryby znaczne sumy kosztował przy przesyłaniu siły na znaczne odległości. Wiadomo bowiem, że im większa odległość, tem grubszy powinien być przewodnik, żeby mniej stawiał oporu przebiegowi prądu, więc żeby się mniej z siły po drodze traciło. Z tego powodu na znaczną odległość przewodnik musi być bardzo gruby, a więc i nieraz nadzwyczaj drogi, tak że się robota nie opłaci nawet przy najdogodniejszym rozkładzie amortyzacji.

Na walnem posiedzeniu angielskiego *Stron*

and Steel Institute w r. 1877 Siemens przedstawił obliczenie dokładne, transmisji siły za pomocą elektryczności po miedzianym przewodniku. W jednem miejscu przypuścił, iż istnieje motor, dostarczający 1000 sił koni parowych na godzinę i motor ten wytwarza prąd elektryczny przebiegający po miedzianym przewodniku mającym 3 cale średnicy do miejscowości odległej o 48 kilometrów. Otóż pomimo strat prąd elektryczny na tej drugiej stacji wystarczy jeszcze do zapalenia świateł elektrycznych o sile 200,000 płomieni gazowych!

Wyprowadzenia, króreśmy tu podali, mają wartość teoretyczną, ponieważ do ostatniego czasu na tak wielką skalę prób jeszcze nie robiono. Otóż obecnie przybywa nowe doświadczenie przekonywające o możliwości i praktycznej donioslości tego pomysłu. W *Sermaize*, we Francji, ustawiono w fabryce lokomobilę o sile ośmiu koni. Rzemień tej maszyny obraca blok machiny elektro-dynamicznej systemu Gromma, wytwarzającej prąd, który po drucie przenosi się na pola, które mają być zorane. Na jednym krańcu tego pola znajduje się machina Gramma, taka sama jest przy maszynie parowej, do której prąd elektryczny wchodząc zamienia się napowrót w obrot bloku, który obraca windę. Na wałku tej windy nawija się sznur biegący przez całe pole i przymocowany swym końcem do pługa. Sznur nawijając się, ciągnie ten pług i robi się tą drogą bruzda przez cale pole, aż do windy. Następnie druga machina Gramma na krańcu przeciwległym robi to samo i pług wraca napowrót robiąc równoległą bruzdę.

W ten sposób przesuwając windy można zorać całe pole. Od lokomobili jedna z maszyn Gramma była oddalona o 400 metrów a druga o 650. Przekonano się, że z siły tracono 60 procentów i że zamiast 8 koni, które dawała w fabryce lokomobila, na polu otrzymywano tylko 3 konie.

Przy stosowniejszem urządzeniu można by zmniejszyć i tę stratę, która jest naturalnie w tym wypadku bardzo dotkliwą, bo przecież na lokomobili trzeba było spalić węgla na ośm koni a tymczasem w rezultacie otrzymano tylko trzy. Lecz jeślibyśmy zdołali ująć w karby takie siły, które nic nie kosztują, jak naprzykład siły wodospadów, to wtedy cóżby nas obchodzić mogła nawet tak wielka strata, kiedy tak olbrzymią ilość siły dostajemy bez wydatku żadnego. Skoro już raz turbiny zbudowane, choćby największym kosztem, to potem ich utrzymanie wynosi w stosunku do rezultatów bardzo nieznaczną sumę.

Jedną z trudności, któreby powstać mogły drzy przenoszeniu siły za pomocą prądu elektrycznego, byłby rozdział tego prądu na pojedyncze gałęzie i mierzenie dokładne potrzebnej ilości. Jeżeliby tę trudność usunięto, to wtedy możnaby elektryczność rozdzielać po domach i fabrykach, jak dzisiaj to robimy z gazem i wodą.

Siemens w zeszycie majowym Philosophical Magazine podaje dwie metody takiego podziału i opisuje przyrządy zbudowane w tym celu. Jednak są to rzeczy tak specjalne, że na tem miejscu poruszać ich nie możemy.

* * *

W liście pisanym z Sokny do czasopisma „Ausland", słynny podróżnik po Afryce Gerhard Rohlfs opisuje nadzwyczaj zajmujące zjawisko nagromadzenia się elektryczności na powierzchni ziemi podczas Samumu.

Jeden z towarzyszy Rohlfsa, Dr. Stecker, wybrał się w podróż na Saharę, aby poznać granice oazy Djofra i zbadać te okolice pod względem przyrodniczym. Po całodziennej wycieczce, gdy rozbito namiot, powstał orkan nadzwyczaj silny, który zrywał pokrycie namiotu, tak, że trzeba było podtrzymywać go rękami z wielkiem natężeniem. Służący zauważył, że włosy Dra Steckera są zjeżone jak szczotka na głowie. Gdy drugi sługa wszedł do namiotu i chciał strząsnąć pył z płaszcza, iskry wylatywały zeń do ziemi z trzaskiem i hałasem. Gdy którykolwiek z obecnych zbliżał palec do ciała sąsiada, wnet wyskakiwały iskry, które dochodziły nawet do długości jednego decymetru.

Igła magnesowa przez ten czas była w gwałtownych ruchach i odchylała się bez przerwy na wszystkie strony.

Rohlfs żeby wytłumaczyć to zjawisko podaje teorją, opierającą się na tem, że burza nie napotykająca nigdzie oporu, niesie z sobą pył i piasek, który w przebiegu trze się o suchą i rozpaloną powierzchnię pustyni, a przez tarcie powstaje znaczna ilość elektryczności rozkładającej się na powierzchni.

A może do tego przyczyniają się i góry okoliczne, zawierające żelazo i posiadające własności magnetyczne?

* * *

Czasopisma specjalne podają sprawozdania o wybuchu Etny zrobione przez prof. Silvestri dla rządu włoskiego. Sprawozdania dziennikarskie były dotąd tak sprzeczne i tak trudno było zestawić z nich obraz całości wybuchu, że na miejscu będzie podać tu krótki wyciąg z pracy prof. Silvestri, który Etną od dawnego czasu się zajmował.

Badacz ten twierdzi, iż obecny wybuch był przez długi czas przygotowywanym i od roku 1874 była ciągła obawa erupcji. Już wtedy na północno wschodniej stronie góry otworzyła się szczelina między głównym kraterem a Mojo i wzdłuż jej powstało trzydzieści pięć małych wybuchowych otworów i jeden większych rozmiarów wysączający lawę. Lecz wybuch ten trwał tylko kilka godzin i nastąpiła znowu cisza. W parę tygodni potem pojawiły się trzęsienia ziemi, świadczące o przewrotach wewnętrznych, lecz do erupcji nie przyszło. Już wtedy Silvestri przepowiadał, że przyszły wybuch nastąpi w kierunku nowootworzonej szczeliny, tam gdzie skorupa najmniejszy stawiać będzie opór. Że w tem miejscu nastąpi przerwa i wzdłuż linji utworzą się kratery wylewające lawę. Obecny wybuch dostarczył dowodów, że przepowiednia ta była prawdziwą.

Szczelina rozszerzała się w obu kierunkach przez krater główny na południowo zachód i na północo wschód. Długość jej wynosiła 10 kilometrów. Dnia 26. maja b. r. lawa zaczęła wypływać na końcach szczeliny u jednego i drugiego końca, tak że wybuch nastąpił jednocześnie po obu stronach góry. Na południowej stronie utworzyło się ośm otworów wylewających lawę, która spływała nie wprost ku miejscowości Aderno odległej o 13 kilometrów, lecz ku pagórkom utworzonym przez dawny wybuch, a znanym pod nazwą Monti Grotta degli Archi. O pagórki te rozbił się prąd lawy, lecz tymczasem źródło jej ucichło i lawa zastygła na wysokości 2000 metrów, płynąc strumieniem na 400 metrów szerokim. Na drodze swojej lawa spotkała śniegi, które częściowo obróciły się w parę, a częściowo zostały stopione i spływały na dół w kształcie potoków. W ogóle strat poniesiono z tej strony góry bardzo mało, bo droga lawy przechodziła przez miejscowości nie zajęte przez nikogo i tylko mała część lasu stojąca na drodze została zniszczoną.

Z tej więc strony wybuch prędko ustał, a to dlatego, że na przeciwnej stronie góry, otworzyło się ujście dla lawy, niżej położone. Tu na północnej spadzistości powstał natomiast wybuch gwałtowniejszy. Z daleka widać było wielką kolumnę dymu i naokoło spadał deszcz pyłu wulkanicznego zaciemniający światło dzienne. W kolumnach dymu stojących nad pomniejszemi kraterami, ciągle migały błyskawice, a lawa wypływająca świeciła jasnem światłem, jakby potok ognisty. Potężny strumień lawy zniszczył po tej stronie lasek Colebasso i w szybkim biegu dosięgnął mostu Passo Pisciaro, przeciął drogę pocztową i dnia 31. już podchodził do miejscowości Mojo, gdzie dla odstraszenia lawy odprawiano procesje. Na drugi dzień przypływ ze źródła się zmniejszył i za dni kilka nie było już żadnego niebezpieczeństwa. O pół kilometra od Mojo lawa się zatrzymała.

Wybuch ten poprzedzony był silnemi trzęsieniami ziemi, które miały miejsce ostatniej jesieni i drobnymi wybuchami gazów na pochyłościach Etny. I dziś jeszcze, mimo chwilowego spokoju, nie można uważać erupcji za skończoną, gdyż ciągle jeszcze dochodzące wiadomości o gwałtownyh trzęsieniach ziemi, świadczą, że tam we wnętrzu jeszcze się nie uspokoiło.

LEONARD CHODŹKO
I JEGO PRACE
KRÓTKI RYS BJOGRAFICZNY I NAUKOWY

Skreślony przez

ALEKSANDRA WERNICKIEGO.

(Ciąg dalszy).

XIII.

„Lud francuski przyjął z zapałem swych nieszczęśliwych braci. Ufni jego szlachetnym uczuciom i uroczystym władzy przyrzeczeniom, spodziewaliśmy się znaleść tu przytułek w niedoli, tudzież zapewnienie pewnego rodzaju politycznego bytu.... *Lecz rząd głuchy zawsze na sprawiedliwe żądania polskich tułaczów rozwinął przeciw nim system prześladowania, które potwierdziły obie izby*, przyjmując prawo 9 kwietnia, wymierzone *szczególniej przeciwko Polakom, których pod dowolność rządu oddaje*," pisze komitet narodowy do prezydenta Stanów zjednoczonych 9 Maja 1832. W czasie tych prześladowań powstała myśl o wolności amerykańskiej.

Jeszcze od 31 roku 4 lipca istniał komitet amerykański w Paryżu, jakeśmy to widzieli, a komitet ten brał czynny udział w pomaganiu powstańcom. Za głosem tego komitetu zbierano składki po Ameryce i na początku 1832 wysłał prezesa, Dra *Hove'a*, do Prus dla zbadania rzeczy na miejscu i ułatwienia przejścia do Francji rozstrzeliwanym i więzionym po fortecach pruskich nieszczęśliwym wiarusom. On pierwszy dotarł do Gdańska i Elbląga i własnemi oczami przekonał się o ich nędzy, rozdał nawet część funduszów. Ale rząd pruski wziął go za samozwańca jakiegoś,

uwięził w Berlinie i to w chwili, gdy „widok opłakany naszych żołnierzy, z niedawnego morderstwa, napełniającego lazarety, wzruszył do żywego duszę republikanina.“*) Po kilku tygodniach zaledwie wypuszczono (*Howe*), a raczej odwieziono go z żandarmami do granicy francuskiej, nie pozwalając nawet rozdać reszty sum posiadanych pomiędzy wiarusów.

Ten że sam Howe występował niejednokrotnie w Anglji w czasie układania adresów do izb za sprawą naszą. Lecz pojechawszy do nowego świata staje się pośrednikiem pomiędzy komitetem narodowym a rządem i ludnością Stanów zjednoczonych.

Był tam i drugi ajent komitetu Józej *Hordyński*. Zagrożona wypędzeniem z Francji emigracja nasza, chcąc wiedzieć o Ameryce naglila komitet narodowy. Więc w sprawozdaniu, po zamianie listów z wymienionemi osobami, daje on następne objaśnienie: „Składki (amerykańskie) przerwały się na wiadomość ustania ostatnich usilności naszych. *Lud przywykły cenić pracę i zdolności nie widział już potrzeby dostarczania funduszów, gdzie robota ustała.* Gościnny na własnej ziemi, otwiera obszerne pole pracowitemu i przemyślnemu łatwego zarobku. *Nie ma u niego stojącej militarki*, która by wielotysięczne ręce od roli, od warstatu, od rzemiosła i innych odrywała zatrudnień. Rola, warstat, handel, rzemiosło i wszelkiego rodzaju praca, zajmuje rodowitego mieszkańca i przybysza z Europy, a tułacz prześladowanego narodu, nie pod innymby warunkiem schronienie znajdował.“**)

Życie to całkiem inne, a jedynie racjonalne, nie mogło trafiać do smaku wychodźców; Lecz co najważniejsza, to odstraszała od Ameryki ogromna przestrzeń oceanu i wybranie się za morze, gdy żegluga parowa daleko pozostawała w tyle po za dzisiejszą, to było przerażającem. Sam Howe, zważając na to, był przekonania, że przeniesienie się zbiorowe naszych tułaczy do nowego świata nie byłoby korzystnem dla sprawy naszej, bo nie pozwalałoby wdawać się czynnie w najżywotniejsze sprawy Polski i Europy. Politycznie obezwładniało by to działalność. Wszelako w obec prześladowania wywołanego serwilizmem ministerstwa francuskiego przed Mikołajem, można było przewidywać, że trzeba będzie działalność polityczną, tamowaną w Europie zamienić na mniej doniosłą, lecz pełną wolności i swobody w Ameryce. „Oddalenie się podobne jest rzeczywistem expatrjowaniem się..... w masie dopełnione byłoby prawdziwem odbieżeniem i opuszczeniem sprawy narodowej. Wszakże zważając co nad Wisłą zaszło, wpatrując się w stan Europy i krainy, w której schronienie znajdujemy, przejmuje pewien rodzaj trwogi o niepewną przyszłość. A w zmiennych losów ludzkich kolejach, gdzie wtedy przed prześladowaniem, przed pościgiem, przed zawziętym wrogiem naszym schronienia szukać będziemy?“

Jak na to mieszkańcy *Tampiko de Taumalipas* nadesłali adres nader przychylny naszej sprawie. Wtedy to do *Jacksona*, prezydenta Zjednoczonych Stanów, udając się „do rządu szczęśliwego ludu Ameryki, *na którego wspaniałość* i potęgę *stary ląd z upodobaniem pogląda, którego mądre instytucje głęboko* w ziemię *zapuściły korzenie* i piękne wolności wydały owoce, który *rozwiązał wzniosłą zagadkę pomyślności towarzyskiej idącej pospołu z wolnością*“. Komitet narodowy pisze: „Europa zna nasze prawa i różne losu koleje. *Jej ludy w drodze do ogólnej emancypacji*, witały każde nasze zwycięstwo głosem radości, bolały nad naszemi klęskami. Ojczyzna Washingtona, cząc zawsze pamięć mężnego Pułaskiego i cnotliwego Kościuszki, poklaskiwała naszym ostatnim usiłowaniom: i ani ogromny przestwór oceanu, ani powaby błogiego bytu, nie odwiodły jej szczęśliwych synów od niesienia nam pomocy.“*) Odwołując się do takiego ludu w rok po upadku powstania, dla objaśnienia naszej sprawy i przyczyn wynoszenia się z Europy, kom. nar. zamieszcza wymówny ten ustęp: „*Polska padła ofiarą spisku królów*. Jej wojska rozdzielone... mając do walczenia z przemagającemi siłami... zmuszone były schronić się do kraju, który dawniej był polskim nim się stał łupem najezdników,“ a dalej „łudzony próżną nadzieją utrzymania pokoju, powodowany mylną polityką na powolności i koncesjach opartą, *rząd francuski wzgardził dawną dwóch narodów przyjaźnią, potargał braterskie ich związki, wyparł się nareszcie, że Polska wstrzymała zamach despotów północy* przeciw zasadom uświęcanym w rewolucji lipcowej.“ Komitet wyłuszcza, że nasi tułacze nie są tylko kolonistami, bo oni poszli na wygnanie: „żeby myśleć nad sposobami dźwignienia upadłej ojczyzny; bo jakkolwiek wielka być może jego niedola, *nigdy w sercu Polaka nie wygaśnie skryta nadzieja tryumfu jego sprawy i odzyskania całej, wolnej i niepodległej Polski.*“

Tym tylko powodowani, w ciągłej walce Polacy „szukali bezpiecznego przytułku, tam gdzieby mogli nad spólną sprawą pracować i swą narodowość ocalić i przechować.“ Wyznaje komitet, że naszych tułaczy liczba dochodzi od 2 do 3.000 i są oni pozbawieni wszelkich zasiłków i środków. Domaga się więc objaśnienia czy rząd amerykański podjąłby się ułatwienia i zabezpieczenia podróży oraz zapewnił na ile ich narodowość uznana i swobodnie rozwijać się będzie bez szkody dla ustaw państwowych.

Adres kończy się wynurzeniem wdzięczności dla Howe: „Poczytujemy sobie za nader szczęśliwą okoliczność, że nasze uczucia i życzenia przedstawione mu będą przez czcigodnego obywatela doktora Howe, który przez swą gorliwość i świeże poświęcenie się sprawie naszej, nowych nabył praw do wdzięczności Polaków.“

Lecz nie dość tego, że Howe obiecywał oddać sam list prezydentowi Stanów Zjednoczonych; pisze on do kom. nar. z Londynu 22 maja 1832: „Wolałbym aby odezwa wasza do Kongresu podaną była. Być może, że jeszcze kongres zgromadzonym zostanie i w takim razie odezwę waszą nie omieszkam złożyć w Waszyngtonie.“ Nadto uprasza o pozwolenie ogłoszenia drukiem odezwy, bo „jeżeliby prezydent z tem się ociągał, tam najwięcej na sympatie ludu liczyć należy. *Szczęściem u nas naród, nie przestaje na wynurzeniu swych uczuć, lecz ich razem rządowi udzielić umie.*“

„Bądźcie pewni, że nie na próżno odwoływać się będziecie z Europy do Ameryki i bądźcie pewni że tam, *gdzie chorągiew narodowa jest chorągwią ludu i gdzie rząd niczem innem nie jest, tylko jego organem: że tam głos i wołanie ludu wysłuchanem będzie.*“

Na takie wezwanie kom. nar. pospieszył natychmiast z przesłaniem adresu do *ludu Zjednoczonych stanów Ameryki północnej*. „Wśród rewolucyj mających w ośmnastym wieku zmienić postać starej Europy i nowego świata, Polska jedna z pierwszych podniosła oręż za wolność i niepodległość.... Nie zapomnieliście, że synowie Polski uświetnili swymi czynami pola bitew waszych i miasta *Westpoint* i *Savannah* szczycą się dziś pomnikami wzniesionymi na cześć Kościuszki i Pułaskiego.“ I w tej odezwie kom. wystawia wszystkie przykrości pobytu we Francji. „Sądzili, że w niej *znajdą wytchnienie* i drugą ojczyznę, *jaką im wskazywały z dala wyświadczone Francji usługi...*. Rząd króla obywatela wyznaczył fundusz na ich utrzymanie, lecz obok tego *nie omieszkał przepisać im warunków niezgodnych z ich charakterem, sprawą i narodowością*. Dręczeni srogą niepewnością, poddani pod samowolne rozporządzenie Allien-bilu.... *nie mając* z nikąd pociechy, ani *zapewnienia przyszłości* i narodowego bytu, *podnosimy głos do narodu, który tak dobrze pojął wolność i niepodległość* i w którego jest mocy udzielić jedno i drugie, *uciśnionym i z opieki prawa wyzutym.*“

Po tem wymównem odwołaniu się do Stanów Zjednoczonych komitet narodowy pierwszy pojął i wyraził następną myśl, zbyt rzadko napotykaną śród europejskich polityków, a zapowiadającą dzisiejsze wdawanie się Ameryki. „Waszem, pisze on, obywatele Zj. St. i waszych liberalnych instytucyj wysokiem powołaniem jest, wywrzeć *wpływ zbawienny na nieustalone jeszcze losy stałego lądu. Polacy gotowi są odpowiedzieć godnie waszemu wezwaniu.* Chorągwie, któreście nam przysłali, powiewać będą na czele naszych zastępów, wielkie *imiona Washingtona, Kościuszki i Lafayetta przewodniczyć będą naszemu wskrzeszeniu.*“

Zawiadamiając, że od odpowiedzi zależą dalsze kroki, „jakie Polakom od momentu opuszczenia ujarzmionej ojczyzny, ich honor i narodowość wskazywały,“ i spodziewając się jakich zajść możebnych aż nadto, kom. głosi: „Lecz gdyby w obecnem położeniu Europy a mianowicie Francji zagrożonej nową koalicją świętego przymierza, mściwe ramie wroga dotknąć nas miało w teraźniejszem schronieniu, wtedy ostatnie nasze nadzieje uniosą się do waszej szczęśliwej ojczyzny, wtenczas zażądamy odetchnąć wolnem powietrzem waszej bogatej i cudownej krainy.“

Na adresie podpisało się kilkudziesięciu Polaków więcej znanych w kraju i na wychodźtwie a przebywających w Paryżu. A w Ameryce przyjęto go z najżywszem współczuciem i zawieszono na kapitolu w sali obrad posłów związkowych. Ameryka gotowa była dać przytułek naszym tułaczom jak i wszelkim innym wychodźcom i dać prawo obywatelstwa, gotowa była ułatwić nawet podróż ich przez ocean. Jednakże nad Europą znowu zaczęły się zbierać chmurki, a że Francji zagrażała koalicja śgo przymierza, to pewna. A winą był sam rząd jej. Tamtoczesny stan moralny tego państwa oto jak zarysowuje Kamil *Mochnacki**): „Polaków wszędzie się boją, zewsząd ich odpychają.... Trzy kolory w firmie są dziś parodją. Naród woli swej nie ma, w izbach podłość i niedołężność; a wszędzie obok głupoty, zapomnienie własnego interesu. Najwięcej egoizmu, który popierają czcze, drobiazgowe formy i doktryna burbońska. Pan Kazimierz *Perier* rzucił carowi pod nogi 30 miljonów Francuzów, a 30 milj. Francuzów zapomniało o swojej sławie, wielkości i potędze dawnej.... *Nie dowierzajmy, bo nikt w Europie nie dowierza.*“

Nie tylko w czasie powstania *Perier* i *Sebastjani* namawiali *Skrzyneckiego* zwlekać do ostatka

*) Drugie sprawozd. kom. Nar. str. 61.

**) Str. 131. Zdanie sprawy z czynności N. K. od 15 kwietnia do końca września 1832.

*) Odezwa Kom. Nar. do Jacksona (Dżakson) prez. St. Zj.

*) Dzieła M. M. T. I. listy. Poznań 63. str. 20.

upewniając: że przez dwa miesiące zwlekania stanowczej bitwy ojczyzna wasza będzie zbawiona, ale i później rząd okazywał, że „szczerze sobie życzył, aby sprawa ich (Polaków) upadła i to jak najprędzej.“

Lud sprzyjał nam. Republikanie byli oddani całą duszą, a Maurycy Mochnacki*) świadczy: „My ze wszystkimi żyjemy w zgodzie, w istocie zaś *najmocniej sprzyjamy republikanom, nieprzyjaciołom rządu i Karola X; bo jeżeli kiedykolwiek Polska ma egzystować, to pewnie nastąpi wskutek powszechnej wojny, a w tę* wojnę *nikt nie uwikła Francji, tylko republikanie*, którzy są silniejsi, jak się zdaje komu, bo mają lud za sobą.“

Słowem w chwili prześladowania przez rząd jedynie na republikanów Europy i Ameryki liczyły wtenczas najwydatniejsze jednostki tułactwa w Paryżu i Francji i przygotowywały się do nowych zajść i rozpędzeń po świecie. Lecz zanim dano odpowiedź z Waszyngtonu, wypadki zaszły dalej i wychodźtwo poczęło porzucać Francję tłumnie. A chociaż na kapitolu w sali obrad sejmu amerykańskiego zawieszony adres z podpisami rodaków naszych, dotąd się tam znajduje; jednak wypadało szukać bliższego ratunku.

(C. d. n.)

*) Tamże str. 62.

Piśmiennictwo francuskie.

Histoire de la Russie przez p. *Alfreda Rambaud*; *Histoire de la Litterature contemporaine chez les Slaves*; przez p. *C. Courrière*; *Histoire de l'Autriche-Hongrie* przez p. *Ludwika Léger.*

(Ciąg dalszy).

Panslawizm jest, zdaniem pana C. Courrière, wymysłem Węgrów i Niemców, wynalezionym w roku 1830, po zakończeniu przez Rosję wojny tureckiej (1828-29). Węgrzy i Niemcy przerażeni sympatiami, jakie Rosja znalazła śród Słowian południowych, a poczuwając się do grzechów względem słowiańskich szczepów pod ich znajdujących się panowaniem, wysunęli naprzód widmo panslawizmu, nadając onemu znaczenie, którego on nie miał, nie ma i mieć nie może. Zrobili to w celu przerażenia Europy, okłamanej równocześnie przez emigrantów polskich, którzy we własnym interesie pochwycili wymysł węgiersko-niemiecki i obnosili takowy po świecie. Europa okłamać się dała. Pora już jednak, ażeby jej z oczów łuska spadła.

Pan C. C. tłumaczy świat słowiański za pomocą świata romańskiego. Jak w tym ostatnim z jednego spólnego rodu wytworzyły się, dzięki przyczynom rozmaitym, rozmaite narody, Francuzi, Hiszpanie, Portugalczycy, Włosi, tak samo w Słowiańszczyznie powstały narodowości, pozostające, z wyjątkiem Rosji jednej, pod panowaniami obcemi. Narodowości te, posiadając życie narodowe, odzwierciadlające się w literaturach, nie posiadają życia państwowego, będącego uzupełnieniem tamtego — chodzą na paskach niemieckich, węgierskich i tureckich. Ztąd dążność uwolnienia się z pasków owych — wyzwolenia się z pod panowań obcych — wytworzenia państw samoistnych, dążność naturalna i słuszna, którą Rosja uznaje i której pomaga. Uznawanie to i pomaganie stanowi dziejową jej w Słowiańszczyznie misję. W świecie słowiańskim pozostaje ona w tem samem znaczeniu, co Francja w świecie romańskim. Cóż w tem nagannego, złego albo groźnego? Groza, jeżeli jest jaka, to ta chyba, która odnosi się do pozbawienia Niemców, Węgrów i Turków możności uciskania narodowości słowiańskich. Nie odnosi się ona zgoła do świata romańskiego, najmniej zaś do Francji — owszem, tej ostatniej zapewnia przymierze przeciwko potędze niemieckiej.

Pod taką ponętną postacią przedstawia nasz autor czytelnikom swoim panslawizm. Strona odwrotna medala mówi jednak o zaborczej polityce Moskwy, o tem mianowicie, że sprawa wyzwolenia narodów słowiańskich służy jej za maskę i że, maską tą osłonięta, dąży do zajęcia stanowiska takiego, któreby uczyniło ją w Europie zwierzchniczką, inne zaś państwa postawiło względem niej w stosunku jeżeli nie wprost poddańczym, to wassalskim. Opanowanie Konstantynopola, tego polityczno - strategicznego klucza Europy, będące zabiegów jej oddawna celem niezmiennym, świadczy o tem bardzo wymownie. Czyby Moskwa Konstantynopolem nie zawładnęła, gdyby mogła? Ani p. C. Courriere, ani żaden z mężów politycznych, wykształconych w szkole redakcji *Nord'a*, nie odpowie na zapytanie to przeczeniem. Słowiańska przeto missja Rosji przedstawia się bardzo jasno. Słowianie służą jej za eklererów w wojennym jej pochodzie, mającym na celu podbicie miasta i jak długo jej służą, póty im złote obiecuje góry, gdy zaś niepotrzebnymi się staną, wówczas tak im obietnic dotrzyma, jak dotrzymała Rusinom. Odwrotna ta strona medalu panslawistycznego. bardzo jest posępna i dosyć groźna. Oskrzydlają ją dowody faktyczne, których, ze względu na to, że są ściśle związane z państwowym interesem Moskwy, zbić nie sposób, ani prostą negacją ani też negacją rozumowaną. O negacji prostej zaledwie wspominać warto; rozumowana zaś obraca się wciąż około jednej i tejże samej osi, około dobrych intencyj Moskwy służenia postępowi. Dobre intencje przypuszczamy, ale w sensie platonicznym i ile razy o nich mowa w odniesieniu do Moskwy, to natychmiast przypomina się nam bajka biskupa Krasickiego, p. t. „Wilk pokutujący“. Właściwa władzy absolutnej wilcza natura, podszyta potęgą państwa, neutralizuje intencje najlepsze i nie dowierzać każe pięknemu zamiarowi uporządkowania świata słowiańskiego na wzór i podobieństwo romańskiego: zrobienia z Rosji Francji, z Czech — dajmy na to — Belgji, z Serbji Hiszpanji, z Bółgarji Włoch, etc. To żarty! Najprzód bowiem, Włochy, Hiszpanja, Portugalja stanęły jako odrębne narodowo-państwowe indywidnalizmy własnym sumptem, po za pomocą i opieką Francji, powtóre zaś, nie ma w romańskim świecie żadnego Konstantynopola, którego zajęcie przez Francją zagrażać by mogło niepodległości nietylko narodów szczepu romańskiego, ale Europy całej. Paralella przeto pomiędzy zadaniem Francji a zadaniem Rosji, przeprowadzana przez patrjotów francuskich nowego autoramentu, grzeszy naciąganiem.

Pan C. C. utrzymuje, że tę misję słowiańską, jaką pełni obecnie Rosja, Polska przeczuwała, lecz zamiast spełniać takową w inną zwróciła się stronę. W jaką — nie powiada. Według nas i według zasad zdrowej — nie z pana Bobrzyńskiego „*Dziejów Polski w zarysie*“ — wysnutej historjozofii, Polska missji swojej słowiańskiej nie przeczuwała, ale pełniła takową, pełniła ją na drodze zachowywania, kształtowania i wkońcu wywalczania bytu własnego, pełniła ją niewiadomie a naturalnie, broniąc siebie i przez siebie tych pierwiastków żywotnych słowiańskich, ktorych składem sama była. Ani wiedząc o tem i wcale się tego nie domyślając, oddała Słowiańszczyznie kilka wielkich usług, jak np., na Psiem Polu, pod Grünwaldem, etc., najdonioślejsze atoli usługi oddawać jej poczęła po upadku własnym, po smutnej dla Polski pamięci roku 1772. Od owego momentu wykluwać się poczęła przedtem zgoła nieznana, zasada narodowości, którą dziś słowiańskie narody na sztandarach swoich wypisują. Zasadę tę, walcząc o siebie i szukając dla walki tej gruntu moralnego, pewniejszego i poważniejszego aniżeli traktaty, a ściśle spojonego z historją, wywołała, postawiła i ugruntowała Polska“. Jeszcze Polska nie zginęła, kiedy my żyjemy“. Przytaczamy słowa te nie jako dowód, ale jako skazówkę w odniesieniu do narodów zasady, dodając nawiasowym sposobem, że hymm ten narodowy polski przyswoiły sobie wszystkie do samoistności poczuwające się narody słowiańskie. Południowi i zachodni Słowianie na miejsce „Polska“ podstawiają „Serbia“, „Czechja“, etc. Służy to jako oznaka, że missja słowiańska polska pełniła się sama przez się, bez niebezpieczeństwa „dla ludzkości — z niebezpieczeństwem jeno chyba dla... „obcej przemocy“.

Moskwa w misję słowiańską ubrała się później dopiero, biorąc ją jako firmę, nadającą się do wyzyskiwania publiczności. Piotrowi Wielkiemu ani śniło się o niej; Katarzyna Wielka wyobrażenia o niej nie miała. Wielka ta monarchini Słowianami z Niemcami się dzieliła; na gruncie zaś sprawy wschodniej, sprawy sprawą słowiańską nawskroś przesiąkłej, zamierzała dla jednego z wnuków, którego w tym celu Konstantym nazwała, postawić tron cesarski *grecki.* Sprawa słowiańska interesować poczęła Moskwę nie pierwej, aż gdy się pokazało, że Słowianie zużytkować się dadzą, jako materjał rozkładowy, w odniesieniu do Turcji i ewentualnie do Austrji.

Dla adwokatów misji słowiańskiej Moskwy ambarasownem jest trochę sposób, w jaki ta missjonarka obchodzi się ze słowiańską Polską. Sposób ten nie odpowiada bynajmniej teorji porządkowania świata słowiańskiego na wzór i podobieństwo romańskiego, teorja ta bowiem ani trochu nie wymaga tego, ażeby Polaków pozbawiać nietlko prawa nabytego istnienia jako państwo odrębne, ale jeszcze i praw przyrodzonych, używania języka własnego w administracji, w sądownictwie, i w nauce, słuchania wykładów w uniwersytetach rosyjskich w liczbie nieograniczonej, bezprzeszkodnego wyznania religji takiej lub innej, nabywania majątków w państwie, które ich za poddanych swoich uważa, i innych w tym rodzaju drobnostek. Misja słowiańska nie wymaga tego i trudno by było usprawiedliwić to przeciwko onej wykroczenie, gdyby nie dwie racje przez Moskwę wynalezione a przez adwokatów jej powtarzane.

Pierwsza racja odnosi się do podziałów Polski. Polska sama temu winna, że się Niemcom w znacznej dostała części: czemu nie chciała w całości oddać się Moskwie? Burzliwość polska niesforność i lekkomyślność zniewoliła tę ostatnią poświęcić część świata słowiańskiego w celu ratowania całości i, jeżeli światu słowiańskiemu stała się z tego powodu krzywda jaka, to odpowiedzialność za takową w zupełności i wyłącznie spada na Polaków.

Druga racja jest jeszcze ciekawsza, z pa

wodu że ją grubo podszywa demokratyzm. Polska, jako państwo i jako naród, jest to fikcja szlachecka, która istnieć i świat tumanić mogła tak długo, póki nie otarła się o „ruski“ realizm i w otarciu się tem nie pękła nakształt bańki mydlanej. Gdy bańka pękła, na gruncie, którą owa fikcja okrywała, pozostały ludy, Kaszuby, Kujawiacy, Mazury, Sandomirzanie, Krakowianie, etc, bez języka pismiennego, bez literatury, bez tradycji, bez niczego, słowem, co dojrzałość pewną narodową znamionuje i ludy te Rosja do szerokiego swego przygarnęła łona, broniąc je od fikcji a darząc dobrodziejstwami, wynikającemi z należenia do państwa tak potężnego. Rosja przeto podniosła lud, rzekomo polski, który polskim w istocie rzeczy nie był nigdy i nie jest.

Après celatirons l'échelle — jak Francuzi powiadają. Są to racje tak gruntowne, że dyskutowanie onych byłoby stratą słów daremną. Zastanawia nas jeno trochę niekonsekwentność demokratyzmu moskiewskiego: dla czego śród wydartych fikcji szlacheckiej ludów nie wywołuje on literatury kaszubskiej, kujawskiej, mazowieckiej? dla czego zakazał literaturę ruską (ukraińską)? dla czego narzuca język moskiewski? Bardziej jednak, aniżeli niekonsekwentność ta, zastanawia nas *grzeczność* Francuzów, kolportujących racje tego rodzaju w świecie ucywilizowanym.

„Nie masz takiej złej sprawy, któraby za pieniądze obrońców nie znalazła“ — powiedział Thiers.

Nie sposób uwierzyć, ażeby spostrzeżenia, uwagi i konkluzje polityczne, przyczepione do historji literatury, pan C. Courriere w dobrej wygłaszał wierze. (C. d. n.)

ŻÓRAWIE.

Pieśń jesienną szumią drzewa,
Wiatry zżółkłym liściem gonią,
Kłos już w polu nie dojrzewa,
Kwiat już nie oddycha wonią.

Słyszę z dala głos żórawi,
Głos nadziei i tęsknoty.
Klucz ich w chmurach gdzieś się pławi,
Wytężając szybkie loty.

Ciągną pewni w nocnym cieniu
W kraj palmami porośnięty,
I nie myślą o znużeniu,
Bo kres drogi ich wytknięty.

Lećcie, lećcie! szczęsne ptaki,
Błogosławię waszą jazdę,
Bo przez ciemne życia szlaki
Gonię także szczęścia gwiazdę.

Lecz czy kiedy ją dopędzę?
Czy ukoję ból tęsknoty?
Ziszczęż złotych marzeń przędzę?
Nie osłabnąż moje loty?

O! wam, napowietrzni gońce,
Wkrótce z za piramid szczytów
Nowej wiosny błyśnie słońce,
Pośród Afryki błękitów.

Lecz ja, czy dożyję słońca,
Wiosny i mych snów ziszczenia?
Czy doczekam cierpień końca,
I tęsknoty ukojenia?!

Bądźcie zdrowi! światła gońce,
A gdy z wiosną znów wrócicie,
Niech i dla mnie zejdzie słońce
I zakwitnie wiosną życie!

Trojan.

POZORY.

POWIEŚĆ

przez

WŁADYSŁAWA SABOWSKIEGO.

TOM DRUGI.

(*Ciąg dalszy.*)

Jeżeli łaskawe czytelniczki przypominają sobie dobrze historję miłości Emila i wyprowadziły z niej trafne wnioski o jego charakterze, to mogły już odgadnąć, że bohater nasz będzie mężem takim, jakim był kochankiem, będzie, mówiąc jednym wyrazem, niepraktycznym.

Niepraktyczną jest większa połowa mężów i dlatego większa połowa małżeństw, jeżeli nie można powiedzieć, że jest nieszczęśliwą, nie jest przynajmniej szczęśliwą tak jakby być mogła i powinna.

Niepraktyczność małżonków objawia się w najrozmaitszy sposób. Za dalekoby nas zaprowadziło klasyfikowanie jej i wyliczanie wszystkich gatunków i podziałów, uczynimy to może gdzieindziej i kiedyindziej, tu tylko powiemy, że największa część niepraktycznych mężów i największa część niepraktycznych ludzi w ogóle zasługuje na ten zarzut przez to, że odmawiać nie umie.

Emil był niepraktycznym w tem najpospolitszem znaczeniu. Dziwić się zresztą temu nie można. Widzieliśmy go już w niejednej chwili życia i przekonaliśmy się, że dla niego zawsze było rzeczą bardzo nieprzyjemną odmawiać, że decydował się stanowczo i odrazu na odmowę tylko tam, gdzie o jego honor chodziło, zkądże się w nim nagle miała wziąć męzka siła i energja w stosunku z kobietą, którą ubóstwiał i do której, jako nie poeta, nie mówił wprawdzie nigdy, że jej u stóp złoży wszystkie gwiazdy firmamentu, ale dla której jako kupiec byłby z pewnością wszystkie te gwiazdy zakupił, gdyby gdzie były do sprzedania.

Wiemy już, że na początek nasz bohater urządził sobie mieszkanie niezbyt wystawnie i kosztownie, lecz z gustem, wygodą i elegancją odpowiednią do swego bankierskiego stanowiska. Czyniąc tak, widać było, że pamiętał o tem, iż w jego firmie obok jego nazwiska figurowała także fatalna formuła *et Comp.*, do której bardzo znakomita część zysków wspólnych należała, pamiętał o przysłowiu nakazującem według stawu budować groblę, pamiętał że jest na dorobku i że, choć miljonowym kapitałem obraca, powinien był się uważać za zaczynającego dopiero przychodzić do grosza. Kierowała nim zasada oszczędności i miał najszczerszą wolę nigdy nie odstępować od tej zasady, zgrzeszył jednakże tem, że żonie swojej, dokładnie swego położenia majątkowego nie przedstawił.

Powiedział jej, prawda, że nie jest tak bogatym, jakby się napozór zdawało i za jakiego wielu w mieście go uważa, ale nie omieszkał dodać zarazem, że jest na drodze do wielkiego majątku i że jego własne dochody kilkadziesiąt tysięcy rocznie wynoszą, wszystkie zaś przewidywania dalszemu powodzeniu sprzyjać się zdają.

Natalja, jak zwykle młode kobiety, a zwłaszcza mające poetyczne usposobienie i lubiące się duchem wznosić w sfery ideału, z pewnem roztargnieniem wysłuchała tej relacji w szczegóły jej wchodzić nie chcąc i odpowiedziała tylko:

— Mój drogi, to nie do mnie należy. Im więcej masz lub mieć możesz, tem lepiej zapewne, ale wiesz, że mnie wziąłeś biedną, żem nie w dostatkach wyrosła, i że gdybyśmy mieli mało, równie łatwo, a może łatwiej byłoby dla mnie pogodzić się z losem jak teraz.

Tak odpowiedziała, ale wyrazy „wielki majątek“, „kilkadziesiąt tysięcy dochodu“, i t. p. mają dźwięk tak charakterystyczny, i tak rzadko dotychczas w rozmowie prowadzonej serjo obijały się o jej uszy, że ich nie mogła nie zapamiętać. Zapamiętała je też mimowoli i wiele rzeczy, które dawniej uważała za zbytek zeszło w jej oczach do znaczenia bagateli i drobnostki.

Że tak było, dziwić się nawet trudno. Natalja, jak kobiety u nas pospolicie, nie umiała rachować. Uczono ją wprawdzie niegdyś czterech działań arytmetycznych, napomykano coś o liczbach wielorakich, o regule trzech, o ułamkach, ale to coś w praktyce życia uleciało jej z pamięci, bo miała tylko niekiedy do czynienia z dodawaniem lub odejmowaniem, i to cyfr wcale niewielkich naprzykład zgłosek w wierszach albo wierszy w zwrotkach. Gdyby ją wzięto na egzamin z mnożenia a szczególniej z dzielenia, byłaby miała z tem tyle kłopotu ile dziewiędziesiąt cztery na sto pań, którym nikt średniego a nieraz nawet wyższego wykształcenia nie poważyłby się zaprzeczyć. Pocoż miała słuchać rachunków, którychby nie zrozumiała dokładnie, i jak miała nie utworzyć sobie przesadnego wyobrażenia o cyfrach, które tylko wielkością swoją na jej imaginację działały, ale których znaczenie rzeczywiste było dla niej czemś nieokreślonem i mglistem?...

Nie dosyć jednak na tem.

Wiadomo, że kobiety, obok wielu właściwości, któremi odróżniają się od płci naszej, posiadają pewną właściwość bardzo rzadko trafiającą się u mężczyzn, a mianowicie, że nadzwyczaj łatwo oswajają się z nowemi dla siebie sytuacjami. Nie ma prawie doświadczonego człowieka, któremu nie zdarzyłoby się spotkać w życiu kobiety, przeniesionej nagle z miernego bytu do dostatków, i każdy niezawodnie zrobił spostrzeżenie, że osoba, którą obserwował, tak się w tych dostatkach czuje swobodną, jakby się w nich urodziła i wzrosła. Tak samo nieraz spotykać się zdarza kobiety, które doświadczyły przeciwnej odmiany losu, z życia wolnego od pracy i trosk skutkiem naprzykład śmierci męża, przeniesione zostały w sferę trudów i kłopotów o chleb powszedni, a przecież tak się z tem oswajają, i tak sobie radzić umieją, że często podziwienie wzbudzają w mężczyznach, którzy w podobnych sytuacjach rzadko bardzo umieją należytą równowagę zachować.

Natalja należała do takich kobiet i bardzo prędko uczuła się jakby w swoim żywiole w dostatkach, o których zasobie i niewyczerpalności, miała niejasne wprawdzie, ale już przez to samo bardzo przesadne wybrażenie, jak ów gracz na loterji, który żył długie lata z kilku złotówek dziennie, więc wygrawszy niespodzianie kilka tysięcy, sądzi że ma w kieszeni ocean bogactw nigdy wyczerpać się nie mogący i gotów niemi szastać na wszystkie strony bez zastanowienia i rachuby.

Symptom ten niebezpieczny nie byłby wcale zatrważającym, gdyby Emil miał siłę i pojmował potrzebę stłumienia go w samym zarodzie. Ale gdy pierwszej kapryśnej, a na początek, nawet niezbyt kosztownej zachciance żony zadość uczynił, gdy po niej poszła druga i trzecia, również bez najmniejszej opozycji zaspokojona, rozumne jego postanowienia i zamiary oszczędności stały się martwą literą i niepodobna było przewidzieć dokąd po tej pochyłości stoczyć się może.

Nie wiele czasu upłynęło, kilka tygodni może, a już pani bankierowa Rzewnicka przestała być osobą nieznaną miastu, zaczęto o niej mówić w Warszawie.

Nie lękajcie się czytelnicy—nie mówiono o niej nic złego. Są miasta i miasteczka w których złośliwość ludzka rzucać się zwykła przedewszystkiem i najzajadlej na uczciwość kobiety. Warszawa nie należy do takich, i ma prawo tem się pochlubić. Ale Warszawa także lubi się interesować tem co się dzieje w jej murach, a że interesowała się już od początku bohaterem naszym, jego sklepami, jego powodzeniem, jego towarami i fortuną, zainteresowała się więc łatwo i jego żoną.

Opowiadano sobie o strojach, w jakich pani bankierowa ukazywała się w teatrze lub na koncertach, spierano się z sobą do jakiej kategorji należy jej piękność, dociekano koligacji rodzinnych familji Balskich, jednem słowem pamiętano, wiedziano o niej i zaczęto się nią więcej zajmować.

Żona, o której miasto takie jak Warszawa mówi i pamięta, nie jest z pewnych względów złym nabytkiem dla bankiera i kupca, który jak Rzewnicki skutkiem zbiegu okoliczności postawiony został na czele wielkich obrotów, majątku wielkiego nie posiadał, a mając główną podstawę swego powodzenia w domu handlowym, potrzebował przedewszystkiem rozgłosu. Dla takiego kupca, żona o której mówię, jest chodzącą lub jeżdżącą powozem reklamą; z drugiej strony jednak wyznać trzeba, że jest reklamą czasem nadzwyczaj kosztowną.

Gdy hrabia Gustaw zdecydował się przyjąć propozycję baronówny Pogromskiej, potrzebował przedewszystkiem ułożyć plan działania. Natalia świeżo zamężna stała się fortecą daleko warowniejszą niż była Natalia, biedna panienka. Mąż, ogłoszony za milionera, młody, przystojny, mający w żyłach prawdopodobnie krew nie wodę, przytem niezawodnie kochany, stanowił fortecę bardzo silną. Zrekognoskowanie planu boju przez Panteleckiego nie wystarczałoby już do wykrycia najsłabszego punktu w wałach obronnej tej warowni. Pantelecki zatem nie został wezwany do pomocy, hrabia postanowił działać sam.

Zaczął od zwrócenia bacznej uwagi na to, czy gdzie w sferach, w których się obracał, nie usłyszy przypadkiem nazwiska pana Rzewnickiego. Jakoż rzeczywiście usłyszał je wkrótce raz, a niedługo potem po raz drugi.

Był to znak dobry—zręcznemu strategikowi nie potrzeba było więcej.

Rozważył sytuację i plan miał gotowy. Według tego planu zbliżenie się do Natalii powtórne powinno było być nie zwyczajne, tak jak było pierwsze, i powinno było być różne od pierwszego. W pierwszem za pośrednika służył udany artysta, artysta więc miał dostać dymisję tak samo, jak p. Pantelecki, a raczej miał być usunięty na drugi plan, i użyty dopiero wówczas, gdyby się i tego środka okazała potrzeba. Należało szukać czegoś innego.

Hrabiemu przychodziły rozmaite pomysły, lecz te po krótkim namyśle odrzucił, bo wszystkie blednąć musiały przed jednym, który mu się wydawał genialnym.

Za pośredniczkę miłośnego stosunku miała być użytą szlachetna bogini, mająca w Warszawie tylu rzeczywistych i gorliwych czcicieli, Filantropia. Niech nas Bóg broni, żebyśmy mieli chęć przypięcia jakiej łatki jednej z najszlachetniejszych stron charakterystycznych Warszawy — dobroczynności. Umiemy jej oddać hołd należny; i wielu miastom polskim, wielu zagranicznym pragnęlibyśmy wskazać Warszawę jako przykład zaprawdę godny naśladowania. Mimoto jednak nikt nie zaprzeczy, że w ogólnej komedji pozorów, w którą gra społeczeństwo, a raczej pewne warstwy społeczeństwa, dobroczynność jest jednym z najwygodniejszych czynników, którym każdy, kto chce użyć go na inne cele, wiele rzeczy pokryć potrafi. Sobkostwo i brudne widoki, chęć rozgłosu, odznaczenia się, zwrócenia na siebie uwagi, dania dobrego wyobrażenia o swojej fortunie, zaprzeczenia wieściom o grożącem bankructwie, zatarcia wrażeń niekorzystnych, sprawionych jakiemś postępowaniem, i wiele, wiele innych interesów tuli się nieraz pod ten płaszczyk miłosierdzia, który ma otulać tylko nędzę.

Hrabia Gustaw naprzykład postanowił zrobić pierwszy krok na drodze do spełnienia niekoniecznie pięknego zobowiązania się, jakie przyjął względem Niny i krokiem tym było pójść na posiedzenie towarzystwa; Dobroczynności.

Że hrabia był członkiem Towarzystwa, zbytecznem byłoby mówić, że płacił regularnie składkę, rzecz naturalna; tylko w Galicji są hrabiowie i inni nietytułowani śmiertelnicy, którzy uważają sobie za obowiązek należeć do rozmaitych towarzystw a wkładek żadnych niepłacić. Najnaturalniejszem jest ze wszystkiego to, że hrabia nigdy na posiedzeniach towarzystwa nie bywał i po opłaceniu składki uważał się za spokojnego w swojem sumieniu i rozgrzeszonego od dalszego zajmowania się jego sprawami.

Ukazanie się zatem hrabiego na posiedzeniu towarzystwa wywołało wielką sensację, której sam hrabia Gustaw nie mógł pierwszy nie spostrzedz.

—Dziwicie się panowie, że przyszedłem — rzekł wchodząc — cóż robić? starość — trzeba myśleć o poważniejszem zajęciu, trzeba porzucić płoche życie. Francuzi mówią, że djabeł na starość zostaje mnichem. Wasze zebrania uważam za przedsionek do klasztoru, w którym podobno wkrótce przyjdzie mi zakończyć dni moje.

Obecni roześmieli się wesoło.

— Nad czem że panowie obradujecie?

— Zajmujemy się właśnie urządzeniem loterji fantowej w ogrodzie saskim.

— Brawo! — zawołał hrabia — więc i ja wam będę przydatny.

Wybierano właśnie komitet, któremu specjalnie miała być powierzoną ta sprawa. W osobie hrabiego przybywał temu komitetowi bardzo pożądany czynnik; objawił życzenie, że tą sprawą chce się zajmować, nic więc dziwnego, że jego do tego komitetu wybrano jednogłośnie. A że przysłowie mówi, iż „nowa miotła dobrze zamiata“, więc nie dziwiono się także, że hrabia Gustaw jako nowy pracownik w nowem dziele, okazał się nadzwyczaj gorliwym i zaproponował wybranemu komitetowi, żeby natychmiast, bez żadnej zwłoki, bo nędza czekać nie może, przystąpić do pierwszego posiedzenia. Zabrano się więc ochoczo do dobroczynnego dzieła.

— Mojem zdaniem — rzekł hrabia — w tego rodzaju zabawach najważniejszą rzeczą jest wybór dam, które mają się zajmować sprzedażą biletów loterji, rozdawaniem fantów, sprzedażą chłodników, ciast, owoców, kwiatów i t. d. Ręczę wam panowie, że jeżeli pod tym względem wpadniemy na dobry pomysł, zwykły dochód z zabawy się podwoi.

Wszyscy przyznali słuszność tej nader gruntownej i praktycznej uwadze i uchwalono zająć się natychmiast spisaniem osób, które mają być do tej czynności uproszone.

Spisywano na osobnym arkuszu nazwiska osób, bez których pospolicie żadna podobna zabawa obejść się nie może. Wypisywano z tytułami i bez tytułów, z imionami mężów i z imionami córek, księżne, hrabiny, żony znakomitych urzędników i dostojników hierarchicznych, bankierów, potentatów pieniężnych, zamożniejszych obywateli, kupców i t. d.

Nie była to trudna robota, przepisywano tylko z pamięci listę kursującą zazwyczaj.

— Ba! — zawołał hrabia — ależ to jest litania, którą już wszyscy w całem mieście dokładnie na pamięć umieją. Tu trzeba jakiejś przynęty, potrzeba nowych nazwisk, nowych twarzy. Jabym naprzykład zaproponował zaproszenie hrabianki Niegolskiej, galicyjska to hrabianka, nie wiem czyby od wielu pokoleń świetny swój ród wylegitymować potrafiła, ale saski ogród to nie dwór królewski; o takie rzeczy tam nikt nie pyta. Hrabianka jest piękna i bardzo bogata; w Warszawie wie o niej wiele osób, ale mało kto ją zna: będzie więc bardzo dobrą ponętą. To z arystokracji. Teraz proponujcie panowie kogoś z mieszczaństwa.

Zaczęto wymieniać rozmaite nazwiska. Hrabia przy każdem się krzywił; każdemu miał coś do przyganienienia, a że potrafił zapanować nad opinją zgromadzonych, więc jego słowo lub skrzywienie się było jakby hasłem dla wszystkich i wnioski, na które on nie przystał, upadły jeden po drugim.

— Tu trzeba jakiegoś głośnego nazwiska, trzeba osoby pięknej, młodej, takiej, dla której jednego spojrzenia ktoś byłby gotów, jak się to nieraz zdarzało, rzucić tysiąc złotówek za jedną poziomkę. Najlepszą byłaby jaka młoda mężatka. Czy kto w sferach ku-

pieckich albo obywatelskich nie ożenił się w zeszłym karnawale?...

— W karnawale nikt jakoś: przynajmniej z takich, którzyby zadowolnić mogli hrabiego, ale niedawno właśnie przypadkiem byłem na ślubie.

— Czyimże?

— Rzewnickiego?

— Rzewnickiego!? któż to? a mam już, to ten kupiec, co to sklep za sklepem otwierał, potem handel hurtowny, a teraz podobno i bank. W rok miał zrobić miljonowy majątek. Ja powiadam, że takie rzeczy tylko w Warszawie się udają i to tylko ludziom, którzy handlują pieprzem. To jednak do rzeczy nie należy. Czy aby ładna ta pani Rzewnicka?

— Podobno — odpowiedział jeden z członków.

—Trzeba się więc upewnić i jeżeli ładna zaprosić.

W parę dni potem do pani Emilowej Rzewnickiej udała się delegacja Towarzystwa dobroczynności z prośbą, aby na loterji fantowej raczyła się zająć sprzedażą kwiatów w towarzystwie jednej z dam poważniejszych, również do kupieckiego świata należących.

Zaproszenie to zostało naturalnie z największem zadowoleniem przyjęte.

VIII.

Loterje fantowe należą, a przynajmniej należały w epoce, w której zaszły wypadki niniejszej powieści, do najwięcej ulubionych zabaw w Warszawie.

Towarzystwo dobroczynności miało stały i znakomity zasiłek z tego źródła. Dochód z jednego takiego dnia obliczał się na tysiące rubli i wystarczał na utrzymanie ciągłe przez rok cały kilkunastu biedaków lub sierót, a zatem o tyle zakres działania Towarzystwa rozszerzał.

Całe miasto brało i bierze udział w takiej zabawie; osoby dobroczynne zbierają a inne ofiarują fanty, czasem nader wytworne i kosztowne. Dostarczyciele cukrów, ciast, kwiatów, i wszystkiego, czego na takiej zabawie dostać można, odstępują ze względu na cel, znaczne procenta od cen zwykłych swoich towarów. Miasto daje ogród, należący do najpiękniejszych w Europie miejsc przechadzki, jeżeli zważymy na to, że ogród saski umieszczony jest w środku miasta, w innych zaś stolicach pragnących rywalizować z Warszawą pod tym względem, takich ustroni już po za miastem szukać trzeba; i członkowie Towarzystwa dobroczynności poświęcają całą swoją gorliwość w celu urządzenia zabawy jak najświetniej, zapewnienia jak najpiękniejszej muzyki, najgustowniej urządzonych ogni sztucznych i t. d. Wieczorem w dniu oznaczonym całe miasto wyrusza do ogrodu, koła fortuny były oblężone, a namioty, w których nie wydaje się reszta z sztuk złota albo grubych banknotów, licznych ciągle znajdują konsumentów.

Zabawa, którą spisujemy, należała do najświetniejszych w tym rodzaju.

Powodzenie loterji fantowych doszło wówczas do kulminacyjnego punktu: ale też przyznać trzeba, że i urządzenie było świetne i epoka wybrana stosownie, bo wypadło to jakoś w porę zjazdu obywateli na jarmark wełniany, i pogoda sprzyjała najpiękniejsza. Że zbliżającym się zmierzchem ogród saski zamienił się w salon, a opustoszała prawie Warszawa.

W kioskach, altanach i namiotach zasiadały damy, wymienione w programie i ogłoszone przez dzienniki, mające przed sobą rozłożone swoje słodkie i wonne towary, oraz ofiarowane przez osoby dobroczynne dary fortuny.

Nie będziemy opisywali całej zabawy, dwie osoby tylko z wszystkich, które się tam znajdowały i jeden drobny epizod należą do naszej powieści.

Zmierzchło się już dobrze i światło latarni gazowych oraz illuminacji, zaczęło nadawać inną cechę zgromadzeniu, gdy hrabia Gustaw zbliżył się do namiotu, w którym zasiadała piękna handlarka kwiatów — pani Emilowa Rzewnicka.

Widok hrabiego i wyraźny jego zamiar przystąpienia do namiotu musiał wywołać pewne wzruszenie w Natalji. Wzruszenie to jednak nie było tak żywe, silne i przykre, ponieważ już dawniej spotykali się z sobą z daleka, co młodą kobietę oswoiło cokolwiek z tego rodzaju wrażeniami, mogła więc nad niem zapanować zupełnie.

Hrabia przystąpiwszy ukłonił się grzecznie i zaczął się rozglądać po różnowzorym towarze pięknej kupcowej.

— Niestety — pani — rzekł nie widzę tu kwiatka, za który gotówbym dać wielką cenę jaką byś pani nałożyć była gotowa.

Natalja zarumieniła się żywo, spodziewała się, że hrabia przystąpi, weźmie jakiś kwiatek, złoży pół imperjała na tacy i odejdzie, czyniąc w ten sposób zadość wymaganiom towarzyskiej grzeczności, a może nawet robiąc już przez to więcej, niż grzeczność nakazywała. Nie była przygotowaną wcale na to, że rozmawiać zechce, owszem sądziła, że po ostatniej rozmowie jaka się odbyła między nimi, już żadnej innej być nie powinno.

Niepodobna jednakże było nie odpowiedzieć.

— Jakiż to kwiat, panie?

—O ile moja znajomość botaniki sądzić mi pozwala — rzekł hrabia ze smutkiem i z spuszczonemi oczyma—to kwiatu takiego nawet botanika nie posiada. Mógłby nim jednak być każdy, którybyś pani na to przeznaczyć raczyła.

— Jakiż to kwiat panie hrabio? — powtórzyła Natalja, której słowa z trudnością przechodziły przez usta.

—Kwiatek zapomnienia i przebaczenia— pani! Botanika jest nielitościwą, zna tylko niezapominajki, a jabym za kwiatek zapomnienia oddał wszystko, co mam, i więcej może gdybym go z rąk pani otrzymał.

Natalja nie wiedziała, co ma odpowiedzieć. W pierwszej chwili, jak osoba nie umiejąca się znaleźć w swojej roli, zarumieniona milczała, czuła w swojem łonie gniew, lecz czuła także przyjemność. Jak się te dwa uczucia kombinowały, nie wiedziała sama, i my nie myślimy tego analizować. Hrabia jej i nam na to nie zostawił czasu.

— Chciej mi pani zatem powiedzieć — rzekł — czy nie znajdzie się tu dla mnie taki kwiateczek, i jaka jest jego cena?

— Jest panie — rzekła Natalja, zdoławszy wreszcie zapanować nad swojem wzruszeniem, i wyjmując pierwszy lepszy kwiatek z bukietu oddała go Gustawowi.

Hrabia z wdzięcznością spojrzał jej w oczy:

— Jakaż cena — zapytał.

— Drogi jest panie — odpowiedziała Natalja — ponieważ pan chcesz, żebym ja mu nadała jego własność czarowną, o której botanika nie wie, ja zatem kładę i cenę: dziesięć sztuk złota.

—Zbyt tanio pani cenisz skarb, którym mię obdarzasz łaskawie — rzekł Gustaw i wyjmując z kieszeni paczkę złota zawierającą przynajmniej trzy razy żądaną cenę, wysypał ją na tacy przed Natalią.

Był to dla niej tryumf pod każdym względem. Samo postępowanie hrabiego było dowodem, że pamięta obrazę, jaką jej wyrządził, i że pragnął ją zmazać, jak mógł. Z drugiej strony nie dziwmy się słabości ludzkiej — znaczna suma wysypana na jej tacy w złocie bardzo dobrze także usposobiła ją dla hrabiego. Między paniami dobroczynnemi, biorącemi udział w tego rodzaju zabawach, istnieje pewien rodzaj szlachetnej emulacji, każdaby pragnęła zebrać jak najwięcej dla nędzy. Dzięki wspaniałej ofierze hrabiego pani Rzewnicka, wiedziała, że składka, którą ona wniesie, będzie jedną z najznakomitszych. Miała więc pewną wdzięczność, podwójną nawet dla Gustawa. To sprawiło, że przebaczenie, jakiego mu udzieliła wraz z kwiatkiem było szczersze i zupełniejsze, niż myślała sama w chwili, kiedy doznaną niegdyś od niego obrazę postanowiła sprzedać na cele dobroczynne.

Dalszej rozmowy hrabia nie prowadził, lecz ukłoniwszy się jak najgrzeczniej odszedł.

Fakt zapłacenia tysiącem złotych za jeden kwiatek, należy do tak niepospolitych na zabawach tego rodzaju wypadków, że nie mógł zostać niewiadomym całej publiczności zebranej w ogrodzie. Epizody takie niby iskrą elektryczną roznosić zwykła wieść i ledwie, że zdarzyły się w środkowej części ogrodu, już o nich mówią w najustronniejszych alejach samotnicy, którzy tam dla chwilowego usunięcia się od wrzawy głównej alei przechodzić zwykli

Hrabia umyślnie, jak się zdaje, wybrał na przystąpienie do bufetu Natalji chwilę, w której przy tym bufecie nikogo nie było. Początkowej rozmowy nie słyszał zatem nikt, ale wysypujące się na tacę złoto wszyscy słyszeli i wszyscy widzieli dobrze, że znany powszechnie bogacz odchodzi od bufetu tylko z jednym kwiatkiem.

Hrabia przytem miał szczęście.

Wiadomo, że w wielkiem mieście, to co jest widzianem, nie jest jeszcze widzianem, jeżeli nie wpadnie w oko reporterom pism miejscowych. Przypadki więc, które rzeczywiście są przypadkami, na mocy prawa prawdopodobieństwa jeżeli wpadną w oczy reporterskie, to najczęściej w oczy tych współpracowników drobnych codziennej prasy, którzy nie będąc obdarzeni wielkim talentem potrafią z nich zrobić zaledwie tyle wierszy w jakim „Kurjerku" ile rzeczywiście warte. Najczęściej jednak się zdarza, że nawet taki drobny sprawozdawca nie jest świadomy wypadku, o którym nazajutrz piszą gazety. Zwykle reporterom, którzy piszą podają o nim wiadomość

reporterowie, którzy tylko gadać umieją, i którzy mają nieszczęśliwy zwyczaj przekręcania i odmieniania charakteru tego, co opowiadają.

Hrabia miał szczęście — powtarzamy. Sypiące się na tacę jego dukaty widział na własne oczy znany nam już Wicek, fejletonista jednego z największych dzienników; Wicek, który nigdy nie zadawał sobie tego trudu, żeby miał sam szukać faktów, bo je do jego fejletonu proszeni i nieproszeni korespondenci zsypywali korcami, jako sprawozdawcy jednego z największych dzienników więc miał tylko mozół wybierać w hojnie ze wszystkich stron dostarczanym materjale.

Czy Wicek był w tem miejscu przypadkiem? Nie zdaje nam się to bardzo prawdopodobnem. Prawdopodobniejszem jest daleko, że go tam pociągnęła atrakcja, jaką na niego zawsze wywierali ludzie zajmujący pozycję hrabiego Gustawa, a najbardziej sam hrabia Gustaw. Wielki fejletonista był satellitą tych co umieją urządzać wielkie śniadania, wielkie podwieczorki, wielkie obiady i wielkie kolacje. Na mocy prawa powszechnej atrakcji wielkość ciągnęła do wielkości, i gdyby był Newton nie odkrył prawa powszechnego ciążenia, byłaby sposobność ją odkryć w saskim ogrodzie podczas loterji fantowej, obserwując tych dwóch panów. A może jeszcze, gdybyśmy byli złośliwi, moglibyśmy zrobić inne przypuszczenia. Może hrabia chciał tego, żeby jego złoto nie spadło niewidziane na tacę. Jeżeli to przypuszczamy, nie mamy zamiaru bynajmniej oskarżać go o próżność; nie twierdzimy, że szło mu o to, żeby Warszawa wiedziała, że to on za jeden kwiatek gotów jest rzucić garść złota dla otarcia łez nędzy, ale posądzamy go o to, że chciał spekulować i bardzo zręcznie spekulował na próżność kobiety, którą obrał za bierną dramatu swojej wspaniałomyślności bohaterkę. Jeżeli tak było, to przyznać należy, że postępowanie hrabiego było bardzo zręczne i jego rachunek nader trafny.

Nazajutrz okazał się zwykły fejleton tygodniowy Wicka. Traktował naturalnie cały o zabawie kwiatowej, ale najgłówniejsze w nim miejsce zajmował wypadek, który zaszedł pomiędzy hrabią a Natalją. Wicek posiadał szczególną sztukę: umiał nie podając nazwiska osoby, nie podając nawet jej pierwszej litery, odmalować ją kilka frazesami tak dokładnie, i tyle dla niej w kilku słowach spalić kadzideł, albo tyle zrobić przycinków, że nikt się nie mógł pomylić co do tożsamości tej osoby, i że ci nawet którzy nie znali sami nazwisk bohaterów wypadku, wiedzieli o kim była mowa. Tak samo postąpił tym razem z Gustawem i Natalją. Nie mówiąc niby nic, powiedział wszystko, a kadzideł wysypał tak obfitą dozę, że nie podobna przypuścić, żeby to nie mogło pogłaskać i zadowolnić próżności stron obojga. Mitologja służyła mu za tło. Hrabia był Jowiszem, piękna kwiaciarka nadobną Danae zamkniętą w kiosku, jakoby w miedzianej wieży. Ilu frazesów musiał użyć fejletonista, żeby usunąć z tego porównania to, co w niem było drażliwe, tego doprawdy określić nie możemy. Była to łamana sztuka nie lada, ale wywiązał się z niej znakomicie; była w porównaniu mowa o wszystkiem, o czem bajka mitologiczna mówi; o Perseuszu, który się narodził z złotego deszczu; o wrzuceniu Danai z dziecięciem w morze, a wszystko to zgrabnemi zwrotami zastosowane do okoliczności.

Fejleton ten uczynił panią Rzewincką naprawdę sławną w Warszawie. Ona była przedmiotem rozmów wszystkich salonów przez dzień cały. Nie zapominajmy, że Natalja była poetką i przez całą swą młodość aż do dnia zamążpójścia marzyła o sławie. Sława ziszczała się teraz dla niej, stawała się teraz rzeczywistością, przychodzącą pod inną postacią; trwała tylko 24 godzin na pierwszy raz, ale na przyszłość mogła się pojawiać częściej; słowem, bądź co bądź w innej formie zaspokajała młodociane jej marzenia. Cel został osiągnięty zapomocą innego środka; nic dziwnego, że środek, którego używano dawniej, powoli został zapomniany. Poezja w kąt poszła... Biedna poezja! (C. d. n.)

KORESPONDENCJE.

Genewa, 4 lipca 1879 r.

(Kosmopolityczny zakątek Szwajcarji. Elizeusz Réclus. Jego geografja. Stanowisko szwajcarskiego narodu w cywilizacji europejskiej. Namiętność gór. Odosobnione położenie Szwajcarji i rychła zmiana pod tym względem. Szwajcarja w XVIII stul. Dzisiejsza jej oświata. Trudność uniknięcia błędów w opisie etnograficznych stosunków. Księstwo Cieszyńskie i Waserpolacy. Mazury i rzeź w tarnowskim obwodzie. Najwięcej zacofanym krajem — Galicja. Pruska Polska. Litwini. Polacy pod zaborem pruskim. Potrzeba prawdziwie naukowej geografji ziem polskich. Francuska geograficzna literatura. Czasopisma. Słownik geograficzny. Nowe książki. Geograficzne stowarzyszenia).

(Dokończenie).

Mówiąc o polskiej ludności, autor powiada, że zajmuje ona całą zachodnią część Galicji i *nawet* posuwa się ku zachodowi do Szlązka austrjackiego, gdzie znana jest pod nazwą *Wasserpolaków*. Tymczasem — jak wiadomo — księstwo cieszyńskie jest ze względu na ludność zupełnie polskim krajem, gdzie Wasserpolaków chyba bardzo mało znajduje się, gdyż głównem ich miejscem pobytu jest Szląsk pruski, a i tam pomiędzy polską ludnością, której liczba dochodzi prawie 800.000, rachują ich wszystkiego około 70,000. Nazwa Wasserpolaków prawdopodobnie wprowadziła autora w bardzo gruby błąd. Mówi bowiem o strasznej nędzy, jaka ma panować pomiędzy Polakami na Szlązku austrjackim, a tymczasem właśnie jest to jedna z ziem polskich, na której ludowi wiejskiemu stosunkowo najlepiej się dzieje. Ludność polska zachodniej Galicji — jak utrzymują nasi etnografowie — składa się z dawnych Chrobatów (Krakowiaków) i Mazurów, którzy od 13 do 15 stulecia gęsto osiadali na Rusi Czerwonej. Nie ma więc autor zupełnej racji, sądząc, że mylnie w zastosowaniu do Polaków galicyjskich używają nazwy Mazurów, która właściwą jest — podług niego — Polakom Prus wschodnich. Mazury, to liczne plemię, na których ziemi stoi sama Warszawa, odznaczali się zawsze swoją ruchliwością kolonizacyjną i siedziby swoje posunęli aż po za Dźwinę. Toruń w Prusach Zachodnich jest to także mazowiecka osada, dawniejsze Tarnowo, a i Tarnów galicyjski dokoła jest otoczony przeważnie mazurską ludnością. W każdym razie Tarnów leży wśród polskiej ludności, jak to wreszcie i sam autor potwierdza, pomieszczając to miasto w strefie, gdzie Polacy stanowią więcej niż 50%. Już ta okoliczność powinnaby ustrzedz autora od powtórzenia bajki, tendencyjnie przez niemieckich pisarzy rozpowszechnionej, jakoby to włościanie ruscy wyrzynali szlachtę polską w obwodzie tarnowskim. Rzeź 1846 r. odbywała się tylko w obwodach polskich i do ruskich nie sięgnęła.

„Jeden z krajów najwięcej zacofanych w Europie — powiada Réclus — Galicja zaledwie zbliżyła się do perjodu wielkiego przemysłu. W sąsiedztwie tylko miast i w zachodniej części kraju, pogranicznej ze Szlązkiem, istnieje kilka ważnych fabryk, z których należy wymienić sukienne, płócienne i cukrowarnie. Znaczna większość ludności, prawie cztery piątych, zajmuje się rolnictwem, lecz produkcja w przecięciu jest mała. Pomimo nadzwyczajnej żyzności gleby i wielkiej rozległości ziemi produkcyjnej, Galicja i Bukowina, które — zdawałoby się — sama przyroda przeznaczyła na to, aby były jednym ze śpichrzów świata, ze wszystkich prowincyj austrjackich najmniej dostarczają produktów rolnych. Wiele pól jest źle utrzymanych, zarosłych chwastem, a niezdrowe bagna, które łatwo byłoby osuszyć, rozległe zajmują przestrzenie. I jakże mogłoby być inaczej w kraju, gdzie tyle włościan, szarpanych lichwą, prowadzi nędzne życie! W wielu powiatach ruskich, chaty pobudowane przez samych włościan, są to ogrodzenia, pokryte tynkiem z wapna i błota i mające na wierzchu dach słomiany. Pożywienie ludności składa się z kaszy i klusek, skrapianych złą wódką, tą nieszczęsną *horyłką*, dla której włościanin zapomina żony i dzieci. Gorzelnie te zabierają największą część zboża, którego nie spożyto natychmiast w kraju. Skoro nieszczęściem plon roczny chybi, biedni ci ludziska, zgoła pozbawieni wszystkiego, musieliby umrzeć z głodu, jeśliby właściciele ziemi lub żydzi nie dali im lichej pożyczki z warunkiem zwrotu na przyszły rok. Zadłużeni zawsze, włościanie ci w rzeczywistości są niewolnikami; sama tylko nazwa zmieniła się.“ W innem miejscu Réclus, mówiąc o ludności Galicji, Bukowiny i Dalmacji, która posyła do szkoły piątą albo nawet mniejszą część prawem wskazanej liczby dzieci, zauważał, że wieki średnie przeciągnęły się tam aż do dnia dzisiejszego. W Czechach liczba dzieci, obowiązanych chodzić do szkoły, wynosi 662,639; rzeczywiście zaś chodzi 682,130. Przewyżka pochodzi ztąd, że dzieci w Czechach, tak samo jak w Tyrolu i Vorarlbergu, chodzą do szkoły dłużej, aniżeli to prawo nakazuje. W Galicji zaś 775.174 dzieci powinno uczyć się w szkołach, rzeczywiście jednak bywa tam tylko 153.949.

Geografja Polski pruskiej objęta jest geografją Niemiec. Podzielona na cztery prowincje (Szląsk, Poznańskie, Prusy Zachodnie i Wschodnie), nie przedstawia takiej całości w opisie jak poprzednia część. Przytem autor, niestety, korzystał z samych prawie tylko prac niemieckich. Wszakże tak samo jak i w geografji Galicji zajmuje stanowisko bezstronne i o narodzie polskim z życzliwością mówi.

Wykazując stosunek wzajemny różnych narodowości w posiadłościach pruskich, Réclus przyznał większą przewagę Niemcom, aniżeli oni istotnie ją posiadają. Najwięcej skrzywdził Litwinów, za daleko ich odsuwając od Królewca. Tymczasem — jak przekonałem się sam o tem 1860 r. — siedzą oni jeszcze gęsto koło Labiawy na południu Kurońskiej zatoki i nawet mają w tem mieście własny protestancki kościół, gdzie nabo-

*

żeństwo odbywa się po lutersku. W ogóle Réclus bardzo pobieżnie rozprawił się z Litwinami.

„Na Szląsku dolina górnej Odry aż do przypływu Nissy, w Poznańskiem dolina Warty aż do Międzychodu należą do dziedziny języka polskiego, pomimo usiłowań, zwłaszcza podjętych ostatniemi czasy, germanizowania tego kraju za pomocą szkół, w których zakazano używania mowy słowiańskiej. W ostatnich czasach rząd wykreślił z mapy nazwy polskie wielu wiosek, i odtąd urzędownie noszą one nazwy niemieckie, których atoli sami mieszkańcy nie znają. Nie mówiąc o Wilhelmshofach i Birmarckshofach, które napotyka się dzisiaj w Poznańskiem, Kamieniec stał się Steindorf'em, Radziejewo zamieniło się w Hohensee, Chodzieżowi dano nazwę Kolmaru w Poznańskiem, jakby dla przypomnienia Polakom o innej orężnej aneksji, dokonanej na zachodzie cesarstwa. Więcej aniżeli rozporządzenia administracyjne przyczynia się do nadania rzeczywistej przewagi niemczyźnie w pasie środkowym obu języków ta okoliczność, że w wielu miejscach tylko lud ciemny mówi miejscowem polskiem narzeczem; odkąd jednak rozpoczyna się wykształcenie, Niemcy stają się nauczycielami rzemiosł i handlu a nawet kierują samym rozwojem myśli. Włościanie górnego Szlązka, których narzecze odróżnia się od prawdziwego polskiego języka brakiem zębowej zgłoski t, zawsze zastępowanej syczącą, nie znają wcale literatury narodowej i skutkiem tego są już z góry wydani na wpływ niemczyzny; wszakże kilka pism polskich podtrzymuje używanie narzecza narodowego. Tak jak niegdyś w Meklemburgu i Pomeranji, wiele miast na Szląsku i w Poznańskiem niemczy się powoli; napływa do nich ludność niemiecka i żydowska, umieszczona w statystyce także pod rubryką niemieckiej; żadne wielkie miasto w Poznańskiem, nawet święte miasto, Gniezno, nie ma więcej nad połowę mieszkańców polskich. Ze swojej strony Słowianie utrzymują się po wioskach, gdzie nawet w ostatnich czasach liczba ich stosunkowo powiększyła się skutkiem ruchu emigracyjnego Niemców do Rosji i Ameryki. Lubo Polacy mają także swoje kolonje i dzienniki w Chicago i Nowym Yorku, to wszakże mało emigrują i zawsze tworzą główne jądro ludności polskiej. Zresztą należy mieć na uwadze i to, że statystycy urzędowi, zawsze Niemcy, nigdy nie zaniedbają w swych obliczeniach faworyzować politycznie panującej rasy: zaliczają więc do niej większą część mieszkańców, mówiących obydwoma językami; niegdyś nawet uważali za Niemców wszystkich tych, którzy rozumieli po niemiecku, nawet tych, których nazwisko wskazywało na pochodzenie niemieckie, chociaż to były rodziny od wielu wieków polskie. Inteligentni i bardzo zręczni w pracach mechanicznych, Polacy w przecięciu biedniejsi są od Niemców, z nich to głównie rekrutują się wyrobnicy i robotnicy fabryczni, tymczasem jednak prawie połowa większych ziemskich własności pozostaje jeszcze w ręku szlachty polskiej. Jeśli Szląskowi górnemu często dają nazwę „Syberji pruskiej,“ to powodem do tego nie sam tylko surowy lądowy klimat, ale może jeszcze więcej ludność polska, którą najezdcy tego kraju pogardzają, mniemając, iż mają do tego prawo.“ Przetłumaczyłem ten cały ustęp, bo w niewielu słowach dobrze on maluje prawdziwy stan rzeczy. Zwracam szczególną uwagę na dwa fakty. Po pierwsze, większość dóbr szlacheckich znajduje się w ręku Polaków (990) a nie Niemców (770). Powtóre, Polacy stanowią znaczny odsetek pomiędzy niemiecką robotniczą klasą, jak o tem przekonywam się tu w Genewie. Dodam jeszcze od siebie tę uwagę, że Polacy ci, nie mogąc sympatyzować z klerykalno-szlacheckim nastrojem swego społeczeństwa, zupełnie oderwali się byli od swego narodu i dopiero w ostatnich czasach, napotykając nowy prąd, zaczynają objawiać chęć samodzielnego ugrupowania się.

Ponieważ nie ma nadziei, ażeby całą Geografję Réclus'a rychło u nas przetłumaczono, to należałoby życzyć przynajmniej cząstkowego jej przekładu, obejmującego wszystkie ziemie dawnej Rzeczypospolitej. Naturalnie, że pracy tej nie należy mechanicznie uskuteczniać, ale trzeba umiejętnie z całego tomu powyjmować wszystko, co dotyczy naszego narodu. W niektórych miejscach wypadłoby porobić uzupełnienia. Samo przez się rozumie, że konieczną jest rzeczą usunąć wszystkie usterki w rodzaju tej, że Mazury jedzą krupnik t. j. wódkę gotowaną z miodem i korzeniami, jakby jakie konfitury. Autora — widocznie — nikt nie objaśnił, że jest to trunek, bardzo upowszechniony na Litwie i w kongresowej Polsce; nosi nawet często nazwę *litewskiego* krupnika.

W tym roku ma wyjść Geografja Rosji wraz z geografją prowincyj polskich. Autorowi pomaga w tej pracy p. Dragomanow, który — spodziewamy się — rzetelniejsze mu da wyjaśnienia o miejscowych stosunkach, aniżeli rządowe rosyjskie źródła lub nawet niektóre niemieckie.

Czwarty tom Geografji, który wyszedł na początku bieżącego roku, obejmuje Belgję, Holandję i Wyspy Brytańskie. Teraz wychodzą zeszyty piątego tomu; te co się pojawiły, poświęcone są Szwecji.

Francuska geograficzna literatura jest wcale bogata. Ma dwa czasopisma — ile wiem. Jedno wyczodzi w Paryżu, jako organ tamecznego Geograficznego Stowarzyszenia (Bulletin de la Société de Géographie); drugie zaś w Montpellier też jako organ stowarzyszenia (Société Languedocienne de Géographie. Bulletin). Księgarnia Hachette'a, ta sama, która wydaje geografją Réclus'a, poleciła Vievien de Saint-Martin'owi ułożenie nowego słownika geograficznego (Nouveau Dictionnaire de géographie universelle). Tworzyć on będzie dwa wielkie tomy in 4to, obejmuje 200 arkuszy, czyli 1600 stronnic w trzy kolumny. Oprócz tego, taż księgarnia wydaje nowy geograficzny atlas. Przytem muszę wspomnieć, że mapy do geografji Réclus'a rysowali Vaillemin, Perron i Słomczyński. Książki zawierające opisy podróży, pojawiają się często. Wymienię kilka: „La Suisse illustrée par Jules Gourdault“, „Les vieilles villes de Suisse par Ernest Robidu“, „Etudes sur l'Allemagne“. „Cohen'a (autor, żyd z pochodzenia i przekonania, przebywał długo w Niemczech; stawia smutny horoskop dzisiejszej bismarkowskiej polityce), „Sahara et Sahel par Eugéne Fromentin“ z drzeworytami podług rysunków samego autora, „Dans l'Amerique du nord par le comte Louis de Turenne“ (autor oddaje Kanadzie pierwszeństwo przed Stanami Zjednoczonemi), „L'Amerique du Nord pitoresque“ z trzystu ilustracjami, „Sud-Amérique de M. Ch. d'Ursel“, „De Marseille à Shangai et Jeddo par M. Laure D. F.“ itd. To są dzieła oryginalne, ale oprócz tego są tłumaczenia (jak np. Listy z Egiptu, przez panią Duff Gordon) i oceny cudzoziemskich prac (bar. Ernonf w dziełku pt. „Du Weser à Zambèze“ rozbiera wyniki poszukiwań niemieckiego podróżnika E. Motr'a).

Nauka geografji coraz żywszy budzi interes. W roku 1870 Stowarzyszeń geograficznych było 21. Od tego czasu liczba ich więcej niż się podwoiła, dzisiaj bowiem jest ich 51. W zeszłym roku zawiązało się 9 nowych stowarzyszeń: w Saint-Gall, mieście znanem z rozległych komercyjnych stosunków, Société de geographie commerciale, w Montpellier, Rouen, Nancy, w Metz'u Verein für Erdkunde, w Hanowerze, Berlinie Centralverein für Handelsgeographie, w Manchester'ze, w Oran'ie. Najwięcej członków mają: stowarzyszenie londyńskie 2334, paryzkie 1700, rzymskie 1476, nowojorskie 1200 i bordoskie 1120.

B. L.

Kronika tygodniowa.

Już musi być dobrze krucho koło nas, jeżeli zakasawszy rękawy, bierzemy się na serjo do ratunku. Towarzystwo Gospodarskie wystąpiło z inicjatywą zjazdu rolników z całej Austrji dla pogawędki o wspólnej biedzie gospodarzy wiejskich, którzy, odłożywszy na bok wszelkie niesłuszne wymyślania na ich rozrzutność i próżniactwo — rzeczywiście są w egzystencji swej zagrożeni. A nietylko u nas ta bieda ma miejsce, lecz toż samo dzieje się i w Prusach, gdzie Bismarck przychodząc w pomoc rolnictwu, zmuszony był uciec się do ceł ochronnych. Narobiło to wiele krzyku między gromadą spekulantów i przemysłowców, ale bądź co bądź środek ten winien oddziałać korzystnie na miejscową produkcję i na powstrzymanie konkurencji ze strony innych państw zalewających produktami rolnemi targi europejskie. Zwołana przed niedawnym czasem ankieta zbożowa we Lwowie, odkryła wiele ujemnych stron naszej sytuacji rolniczej, lecz uwagi jej co do poprawienia takowej, ograniczyły się na podrzędnej wagi środkach kuracyjnych, jakoto urządzeniu spichrzów zbożowych i rozszerzeniu kredytu rolniczego. Wobec ogólnego zastoju i wysokości kosztów produkcji, tudzież niepomiernie wygórowanych ciężarów gniotących własność ziemską, podobne środki mogą sprawić chwilowe tylko ulżenie manipulacji handlowej, ale nie radykalny sposób polepszenia.

Taki sam skutek wywrze, notabene jeżeli się uda, ów jarmark produktów, który ma się odbyć we Lwowie w przyszłym miesiącu. Tego rodzaju jarmarki zaprowadzono niedawno w Wiedniu i w Lipsku, a rzeczywiście trwają one ciągle tam, gdzie są urządzone giełdy zbożowe. Lecz korzyści z nich dla producentów są prawie że żadne, natomiast więcej oddają usług kupcom i spekulantom a wreszcie i graczom giełdowym. Gospodarstwo rolne u nas ma zupełnie inne warunki bytu niż gdzieindziej. W Węgrzech naprzykład, zebrane zboże natychmiast się młóci parowemi młocarniami, i to na polu, zkąd ziarno już w workach odstawia się wprost do stacji kolejowych. Tam więc obywatel dając próbkę zboża, wie że takie ma wszystko i wie co sprzedaje. Toż samo dzieje się i w Rossji, chociaż tam młócenie rozdzielają na dwa perjody; część młócą zaraz po żniwach, drugą, aż na wiosnę. U nas tego rodzaju manipulacja jest niemożebną dla braku sił roboczych w tę chwilę, i braku od-

powiednich przygotowań. Jeżeli przetó producent sprzeda zboże z próbki wziętej ze stodoły, w żaden sposób nie może ręczyć, czy wszystko będzie takie i czy w terminie ściśle oznaczonym będzie w możności to zboże odstawić do wskazanego miejsca. Kilka i to większych tylko majątków ziemskich, byłoby może w stanie podjąć się podobnych zobowiązań, a czy te wyjdą im na dobre? — to jeszcze wielka kwestja. Dlatego śmieszne są przestrogi naszych ekonomistów, siedzących za zielonym stolikiem, których nie szczędzą ziemianom, z tytułu ich nierzetelności tak co do gatunku zboża, jakoteż i terminu dostawy.

Dla naszego gospodarza, te rzeczy mimo jego najlepszych chęci częstokroć są niemożebne. Pora kiedy się zboże młóci, wpływa wiele na jego suchość i oczyszczenie, pora odstawy i zły stan dróg, sprawiają zawsze niezwyciężone przeszkody w odstawie... Trzeba zatem być wyrozumiałym, i nie oskarżać ludzi o nierzetelność tam, gdzie fizyczna niemożebność jest głównym powodem niepunktualności. Zresztą, trzeba też bliżej przypatrzyć się wartości tych narzekań kupujących, którym daleko więcej można zarzucić złej woli, niż naszym rolnikom. Jeżeli ruch handlowy jest dobry, nic oni nie mówią choć termin się odwlecze, i zboże nie jest takiem jak próbka, ale niech ceny spadną, a oni radziby zrzucić się z kontraktu, to grymasów wtedy pełno, narzekań i gróźb jeszcze więcej nie tylko u naszych żydków, ale na pierwszych giełdach europejskich. Dla tego jesteśmy zdania, że nie dla nas są wszelkie sprzedaże naprzód, bo w każdym razie wyjdą one tylko na korzyść kupujących przysparzając kłopotów i zmartwień bez liku biednemu rolnikowi. Spekulacja wszelka nie dla nas, i raz trzeba przyjść do tego porządku, aby sprzedawać to co kupiec widzi, a jeżeli nie można sprzedać, to urządzić składy takie gdzieby tanim kosztem można było dostać na złożony towar pożyczkę.

Inna rzecz, gdy idzie o podniesienie ogólnego stanu rolnictwa, a taki zjazd, który Towarzystwo Gospodarskie projektuje — jest on na czasie i powinien przyjść do skutku jeżeli nie z całej Austrji, to przynajmniej z Galicji.

Pod każdym względem, kraj nasz stoi na odrębnem stanowisku od innych krajów składających Austrję, a tem bardziej producentów europejskich — dlatego i środki ratunku nasze muszą tu być inne niż gdzieindziej. Raz musimy przyjść do przekonania, że mało co jest dla nas dobrem z tego, co Europa i postęp zdziałały. Małpowanie bezmyślne cudzych urządzeń, obliczonych właśnie na wyzyskanie zacofanych, nie tylko nam korzyści nie przyniesie, ale prędzej dobije. Jeżeli mamy iść dalej i rozwijać swoje siły, to tylko na gruncie swojskim, w granicach naszych właściwości, stworzonych tradycją i charakterem narodowym; a jak brać zkądś wzory, to wzory na naszym gruncie wybornie przetrawione. Wina dzisiejszego złego stanu handlu i przemysłu i w rolnictwie, po części leży w tem, że wprowadzono zbyt pochopnie nowości, które nie były dla nas. Wolność handlowa, o której tak wiele mówią, jest np. bardzo dobrą dla tych, którzy potrzebują narzucić innym swoje wyroby a brać od nich surowe produkta. Dla nas przeciwnie cła ochronne jeszcze długie lata byłyby dobrodziejstwem; raz żeby umożebniły konkurencję przynajmniej u siebie w domu, a powtóre, żeby pod osłoną cła, dały opiekę nową powstającym zakładom przemysłowym choćby również na swoje tylko potrzeby. Dalej, ziemia u nas zanadto obciążona jest podatkami, kiedy w sąsiedniej Rossji, która właśnie zarzuca produktami surowemi wszystkie targi, ta własność ziemska mało co płaci, bo Rząd czerpie dochody swoje z innych źródeł. Dość powiedzieć, że z 1000 morgów takiej np. ziemi podolskiej płaci się tam gruntowych podatków około 150 rubli (nie licząc kontrybucji na Polaków, która jednak jest wyjątkowym ciężarem), a u nas z tysiąca morgów daleko lichszej ziemi ile się płaci?

Nie spodziewamy się aby Rząd pragnął ruiny naszej, zatem obowiązkiem będzie projektowanego zjazdu i delegacji do Rady państwa zwrócić na to jego uwagę i zrobić energiczny nacisk na tę okoliczność. Nie żądamy przywilejów, ale przynajmniej ochrony i sprawiedliwości, i dlatego mamy nadzieję, że przyszłe Koło polskie postawi sobie na pierwszem miejscu tę sprawę jako będącą najżywotniejszą kwestją naszego bytu. Nie trzeba się łudzić i podejrzanem okiem spoglądać na obywateli naszych. Jesteśmy krajem rolniczym, nic więcej tylko rolniczym, a zatem nie idzie nam o szlachtę, ale o rolnictwo, koło którego obracają się wszystkie interesa nasze, i którego pomyślność jest sprężyną nadającą ruch i życie wszystkiemu.

Wypowiedziawszy otwarcie to co nam się wydaje słusznem w obecnem położeniu, wróćmy do życia miejskiego we Lwowie. Właściwie teraz nie ma Lwowa we Lwowie, a te resztki które się snują po ulicach, uważać można jako załogę pokojową aby Lwów nie zaginął. Czas ogórkowy zapanował u nas w całem znaczeniu tego wyrazu, bo tego kwaśnego specjału mamy w tym roku dosyć. Za to chleb drożeje z dnia na dzień w oczekiwaniu nieurodzaju za granicą, u nas albowiem nie jest tak zły jak po inne lata. Pogoda się ustaliła, ciepła nie brak, a zapomniane łazienki po tutejszych stawach roją się kąpiącemi... Smutne bo też są i te kąpiele lwowskie, gdzie ludzie jak ryby w kojcu ocierają się jedni o drugich w przekonaniu, że kąpią się rzeczywiście. Wystawa obrazów jeszcze dyszy na Nowym Świecie, Bitwa Grünwaldzka ściąga licznych widzów do domu Narodnego wywołując najdziwaczniejsze krytyki, których pozwalają sobie znudzeni Lwowianie. Nic też dziwnego, że wśród tak omdlewającej atmosfery i wielka nasza lwowska polityka zdrzemie na dobre. Gdyby jeszcze nie Czesi, którzy parę razy na dzień wchodzą i parę razy wychodzą z Rady państwa, nie pisalibyśmy o niczem więcej jak o tem, że rynek nasz dotąd nie wybrukowany, że prezydent wyjechał, że wice-prezydent także wyjechał, a zastępca zastępcy gotów także dla obudzenia zajęcia wyjechać.

O sejmie ani słychu i zdania co do zwołania takowego w tym roku są podzielone w ten sposób jak co do Czechów. Powiadają, że hr. Taaffe obawia się aby wśród takiej kanikuły, szlachta polska nie wypociła z siebie jakiego adresu... Już to w Wiedniu tych naszych adresów i rezolucji nie bardzo lubią i wolą nieme ukłony konfederatką. Tymczasem wiele ważnych spraw oczekuje przyszłych ojców narodu, które dla braku czasu znów pójdą do szaf Wydziału krajowego w oczekiwaniu lepszych czasów.

Harmonia lwowska z nudów robi wycieczkę osobnym pociągiem do Brodów. Od niejakiego czasu te Brody weszły jakoś w modę u nas, a wina w tem pana burmistrza tamtejszego, który za wybór p. Sochora tak czule przemawia i gości lwowiaków.

Jedna jedyna, a zdaje się że i upragniona uroczystość, oczekuje nas w niedzielę. Straż ochotnicza urządza festyn na wysokim zamku w dziesięcioletnią rocznicę rozpoczęcia sypania kopca unii. Nie powiemy, aby na dziesięć lat czasu, kopiec ten podniół się bardzo wysoko, choć przez ten czas wiele się rzeczy na korzyść pogodzenia się naszego z Rusinami zmieniło. Wybory ostatnie dały najlepszy wyraz tej tendencji — więc sądzimy że za nią i kopiec się podniesie wyżej, bo choć bieda wielka, jednakże poczciwy Lwów nie da się rozsypać tej pracy pojedyńczego człowieka, przyjmując dewizę nie jeden za wszystkich, ale wszyscy za jednego.

Nie chcemy zachęcać nikogo, lecz uważamy za obowiązek uwiadomić publiczność, że festyn ten będzie arcy-przyjemny i nadzwyczaj urozmaicony, i że ci co się nań wybierają, niech idą wcześnie, bo wobec ogólnej chęci brania w nim udziału, może im miejsca na górze zamkowej zabraknąć.

Teatr drzemie także i wydobywa rożne starzyzny dla przewietrzenia od moli. Prawda że i najlepsze jego siły podróżują, a pan Ładnowski zbiera laury w Warszawie, które skończyć się mogą na tem, że go już więcej na scenie lwowskiej nie zobaczymy. Gazety tamtejsze nie mogą się uspokoić opisując zapał z jakim p. Ładnowskiego tam przyjmują; dość powiedzieć że na każde przedstawienie biletów brakuje. O nas tego samego powiedzieć się nie da nawet w czasach występów p. Ładnowskiego, co naprowadza myśl, że nikt nie był jeszcze prorokiem u siebie.

BIBLJOGRAFJA POLSKA.

Za miesiąc lipiec.

— *Balzer M. O.* Konkurenci panny Eudoksji, komedja w jednym akcie 8ka str. 38. Lwów 1879 ct. 60.

— *Bartoszewicz Juljan.* Dzieła tom V. i VI. zawiera: Historja pierwotna Polski t. III. IV. 8ka str. 450, 331. Kraków 1879. Prenumerata na 10 tomów (komplet) zł. 30.

— *Belot Adolf.* Artykuł 47. Powieść 8ka str. 398. Warszawa 1879. zł. 1·70.

— *Boistel A.* Wykład prawa handlowego, przełożył z francuskiego Stefan Godlewski tom II. 8ka str. 461. Warszawa 1878. zł. 4.

— *Brosius J. i R. Koch.* Szkoła maszynisty. Podręcznik dla urzędników dróg żelaznych i uczniów szkół technicznych, tłómaczył z trzeciego wydania Ludwik Wojno. Część II. Parowóz jako maszyna i wóz z 364 drzeworytami i 2 tablicami 8ka str. 446. Warszawa 1679. Cena za całe zł. 5.

— *Bukowski Juljan X.* Kazania pasyjne tudzież nauki w czasie ćwiczeń duchowych dla młodzieży gimnazjalnej, z dodatkiem kilku kazań przygodnych 8ka str. 124 Kraków 1879. zł. 1.

— *Dumas A.* (ojciec). Wybór powieści tom I. Hrabia de Montechrysto. 8ka str. 160. Warszawa 1879. ct. 50.

— *Epsilon.* Żywot i czyny Wielopolskiego podług najnowszych badań. 8ka str. 1879. ct. 30.

— *Giller Agaton.* Tomasz Olizarowski. Wspomnienie. 8ka str. 45. Lwów 1879. ct. 30.

— *Głos patrjoty* (nie-posła i nie-kandydata), z okazji dokonywających się wyborów w r. 1879 do Rady Państwa Austrji, 8ka str. 20. Wiedeń 1879. ct. 20.

— *Graham Sylwester Dr. Prof.* O czystości obyczajów, odczyt dla młodzieży, tudzież ostrzegające i pouczające wskazówki dla małżeństw, rodziców i opiekunów. 8ka str. 91. Cieszyn 1879. zł. 1.

— *Hellwald Fryderyk.* Ziemia i jej mieszkańcy tom IV. V. zawiera: Azja i Australja ozdobione licznemi drzeworytami w tekście 4to 184. 50 CIV. Warszawa 1879. ct. 3·60.

— *Jordan.* Ze wspomnień marymonckich 8ka str. 120. Warszawa 1879. zł. 1.

— *Kabat Maurycy Dr.* Postępowanie sądowe w sprawach drobiazgowych (Bagatell. Verfahren). Wydanie II. przez autora poprawione 8ka str. 222. Lwów 1879. zł. 1.

— *Kalinka X. C. R.* Męczeństwo św. Stanisława i jego znaczenie w dziejach narodu (Rzecz czytana na posiedzeniu publicznem Akademji Umiej. 3. maja 1879 w Krakowie) 8ka str. 72. Kraków 1879. ct. 60.

— *Kleczyński Jan.* O wykonywaniu dzieł Szopena (Wypowiedziane w Resursie obywatelskiej w Warszawie w d. 11. 15. i 17. marca 1879 roku) 8ka str. 87. Warszawa 1879. zł. 85.

— *Kraszewski J. I.* Skrypt Fleminga. Powieść historyczna z czasów Augusta II. 2 tomy, 8ka str. 165, 190. Warszawa 1879. zł. 2·50.

— *Lelewel Joachim.* Listy. Oddział pierwszy. Listy do rodzeństwa pisane tom II. 8ka str. 480. Poznań 1879. zł. 4·50.

— *Leliwa Piotr L.* Wielka rodzina w wielkim narodzie 8ka str. 225. Kraków 1879. zł. 1·50.

— *Listy do pani Apotji,* która stała się progresją i jej odpowiedzi. Ofiarowane J. I. Kraszewskiekiemu. Serja I. 8ka str. 225. Kraków 1879. ct. 80.

— *Mostowski Adolf.* Bruliony. Krotochwila w jednym akcie oryginalnie napisana prozą; W ogrodzie, komedja oryginalna w jednym akcie prozą, 8ka str. 104. Warszawa 1879. ct. 85.

— *Tenże.* Nieznajoma, komedja oryginalna w trzech aktach prozą. 8ka str. 118. Warszawa 1879. str. 85.

— *Mrówka Janek.* Jakby się wieśniacy mogli rządzić w gminach? 8ka str. 24. Warszawa 1875. ct. 10.

— *Nasz narodowy zokon* czyli wskazówki do umiejętności życia dla synów i cór polskiej ziemi. I. 8ka str. 167. VII. Kraków 1879. zł. 1·50.

— *Rivaux Ks.* Opowiadanie dziejów kościoła rzymsko-katolic. w streszczeniu. Z piątego wydania francuskiego przełożył ksiądz Bogumił z nad Wisły 3 tomy, 8ka str. 567, 544, 554. Kraków 1879. zł. 8.

— *Rajchman Bronisław.* Wycieczka na Łomnicę odbyta pod wodzą Dr. T. Chałubińskiego 8ka str. 120. Warszawa 1879. ct. 50.

— *Świderski Prof. Paweł.* Ćwiczenia niemieckie. 8ka str. 175. Stanisławów 1879. ct. 50.

— *Walicki Aleksander.* Błędy nasze w mowie i piśmie ku szkodzie języka polskiego popełnione oraz prowincjonalizmy. Wydanie drugie poprawione i we dwójnasób powiększone 8ka str. 265. Warszawa 1879. zł. 1·70.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura i nauka.

*** „Astronomja popularna“, dzieło Kamila Flammariona, autora „Wielości światów“, ma być wkrótce przyswojone naszej literaturze.

Tłómacz zniósł się już z autorem na właściwej drodze.

*** Ostatni zeszyt „Niwy“ mieści początek godnej uwagi pracy statystycznej p. Henryka Konitza „Rozwój szkół elementarnych w Królestwie Polskiem“.

*** Bibljografja polska p. t. „Katalog nowych książek“ za m. lipiec wyszła już z druku.

*** Donosiliśmy w właściwym czasie czytelnikom naszym o pojawieniu się broszury p. Juljusza Świecianowskiego, p. t. „Die musikalische Scala in der Welt mit einem Auszug, aus dem gekrönten Werke: Die ästhetische Scala der griechischen und römischen Baukunst“, traktującej o skali estetycznej w sztuce.

Obecnie uważamy za stosowne nadmienić o liście własnoręcznym JEksc. A. R. Rangabe'go, założyciela Towarzystwa archeologicznego i dyrektora ministerjum oświecenia w Atenach, pisanym z Berlina d. 6. lipca r. b., do autora tejże broszury, w którym ów znakomity archeolog i uczony grecki winszuje ziomkowi naszemu powodzenia, czyniąc zarazem uwagę, iż „niepojawienie się zarzutów przeciw pańskim zadziwiającym prawidłom sztuki greckiej jest najlepszym dowodem, że takowe ogólne uznanie znawców zyskały“.

List powyższy, o którym mowa, wywołały prace architektów berlińskich, działających w kierunku, jaki analiza monumentów greckich przez p. S. wykonywana, artyście wskazuje.

*** W Paryżu w dniu 7. sierpnia odbędzie się roczne zebranie akademji francuskiej; Juljusz Simon, prezydent wypowie mowę o nagrodach.

*** W Laibach rozpoczęły się obrady pierwszego austrjackiego zjazdu antropologów. Publiczność żywo zainteresowana. Na zgromadzeniach przewodniczący radca dworu Hochstetter. Słoweńcy trzymają się z dala od obrad.

Prasa perjodyczna.

*** W Austrji odmówiono debitu pocztowego pismom włoskim „Rivista illustrata settimanale“, wychodzącemu w Medjolanie i genueńskiemu „Il Popolo“.

*** Jak wielkie koszta łożą najpierwsze dzienniki europejskie na wiadomości telegraficzne, możemy się przekonać z następującego przykładu.

W numerze gazety „Times“ z dnia 30. czerwca, w którym między innemi znajdowała się wiadomość o katastrofie księcia Ludwika Napoleona, znajdowało się nieco więcej aniżeli 5 szpalt „telegramów własnych“ przysłanych z Indyj, z Afryki i z Ameryki.

Telegramy te zawierały około 9000 wyrazów.

Licząc według taksy po $5^3/_4$ franka za wyraz, koszt tych telegramów wyniesie w okrągłej cyfrze 52,000 franków.

Podobnych numerów w przeciągu roku bywa bardzo wiele, wydatki więc są ogromne.

Budżet gazety „Times“ w rubryce rozchodów wykazuje kolosalną cyfrę 3,000,000 rs. tj. 20,000,000 złotych rocznie!

Mimo to jednak wydawnictwo przynosi ogromne zyski!

Dochód roczny brutto wynosi przeszło, 5,000,000 rs., t. j. około 35.000,000 złotych.

Z polskich pism żadne jakoś dojść nie może do takiego rezultatu.

Może uda się to od... nowego roku...

Sztuki piękne.

√ Bezstronne ocenienie znalazła w Berlinie „Bitwa pod Grunwaldem“ w „jednym“ tylko dzienniku. Jest nim „Kreuz. Zeitung“.

Recenzent, porównywając obraz Matejki ze słynnem płótnem Makarta „Wjazd Karola V. do Antwerpji“, powiada, że co do rozmiarów, obrazy te są równe, że jednakowoż dzieło naszego mistrza góruje po nad utworem wiedeńskiego, powagą treści i siłą wykonania.

Recenzent wszakże mimo to ubolewa, że stosunkowo zbyt mało osób obraz ten oglądało, co przypisuje okoliczności, iż zupełny brak „nagości“, który tak dużo znajduje się w obrazie Makarta, nie mógł zwabiać Berlińczyków...

*** Sarah Bernard rzeźbi popiersie Beaconsfielda.

Teatr.

W Poznaniu pan Jan Reuz zakłada teatr letni polski.

*** Znany kompozytor Delibes napisał nową operę p. t. „Loreley“.

*** Niejaki Felicjan Renard napisał dramat z życia Ludwika Napoleona. Nosi on tytuł: „Życie i śmierć ks. Ludwika Napoleona“. Dramat ten przełożony na język niemiecki grany był na jednej ze scen niemieckich.

*** Krystyna Nilson zaangażowaną została na sezon przyszłoroczny do opery paryzkiej.

*** Komedja francuska nie zgadza się podobno na żądanie Sary Bernard, co do jednorocznego urlopu. Ofiarowano podobno głośnej artystce dwa miljony franków za przejażdżkę artystyczną po Ameryce. Propozycję tę zrobił jej impresario trupy murzyńskiej dramatycznej, występującej obecnie w Petersburgu.

Wiadomości społeczne i ekonomiczne.

*** W Berlinie na zgromadzeniu studentów uchwalono założenie Towarzystwa akademicko-historycznego; do stowarzyszenia tego będą mogli należeć słuchacze wszystkich wydziałów.

*** W Krakowie w kołach artystycznych powstała myśl wzniesienia drogą składek pomnika na cmentarzu izraelickim, ku czci Maurycego Gottlieba.

*** W Londynie na licytacji autografów sprzedano własnoręczny testament Händla za 53 funtów szterlingów.

*** W Berlinie dyrekcja policji różnemi, coraz ostrzejszemi rozporządzeniami, dąży do wyrugowania usługi kobiecej w restauracjach i kawiarniach.

*** Profesor Langenbeck przedsawił swoim słochaczom w klinice berlińskiej wielką osobliwość. Okazem, który wzbudził wielką sensację, był 12-letni chłopiec, posiadający troje uszu. Dwoje z nich znajdowało się we właściwem miejscu, trzecie zaś niby narość osadzone było na prawym policzku. Trzecie to ucho było zupełnie dobrze zewnętrznie rozwinięte, lecz nie komunikowało się z organem słuchu. Profesorowi Langenbeckowi pierwszy raz zdarzyło się obserwować podobne zboczenie. Na chłopcu wykonano operację, która go uwolniła od tego szpetnego dodatku. Ucho nadliczbowe zrośnięte było z występującą kością policzkową.

W Paryżu pewien Anglik otworzy wkrótce wystawę „żyjących dziwolągów z całego świata“; zgromadzonych jest już 2,900 objektów.

*** W tych dniach przystąpią do zburzenia pałacu przemysłowego na polu Marsowem w Paryżu. Pozostanie tylko park, który będzie przekształcony na skwer publiczny, wpośród którego stanie pawilon miasta Paryża. Na koszta urządzenia skweru przeznaczono 80,000 franków.

*** Ruiny tuileryjskie będą zniesione; w ich miejscu założyć się ma ogród publiczny.

*** Od czasu wstąpienia Leona XIII na tron papiezki zmarło 10 kardynałów, 10 zaś otrzymało purpurę. Z pontyfikatu Grzegorza XVI pozostał jeden tylko przy życiu ks. Schwarzenberg, biskup prazki. 52 ma paljusz od Piusa IX., wakuje zatem siedm kapeluszy. Spodziewają się najbliższych mianowań we wrześniu; pierwszymi są podobno nuncjusze Paryża, Wiednia i Madrytu.

*** Berlin będzie połączony podziemnym drutem telegraficznym z Wrocławiem, Drezmem i Szczecinem.

Wynalazki i odkrycia.

*** Dzienniki donoszą, iż odkryto w górach Jury berneńskiej blaszki złota i srebra.

*** Ciekawe próby odbywały się niedawno na drodze Bałtyckiej w Petersburgu z opalaniem parowozów naftą zamiast węglem i drzewem, podług systemu inżyniera Poreckiego, który nad udoskonaleniem swego wynalazku lat 12 pracował.

Próby powiodły się wybornie.

Okazało się, że przy równości technicznych przymiotów system opalania naftą daje 50% oszczędności w stosunku do dzisiejszego systemu, w miejscowościach, które naftę w dostatecznej ilości i tanio otrzymują.

Na jednej z dróg kaukazkich system naftowy został już wprowadzony w życie.

Może która z naszych dróg ż. prawego brzegu Wisły zrobi próbę nowego wynalazku?

*** W Warszawie w d. 31 lipca grono rzeczoznawców konstatowało rezultat próby z „antihigrasmą“, odbytej w gmachu warszawskiego Towarzystwa dobroczynności.

Stwierdzono więc, że d. 18 lipca przed założeniem „antihigrasmy“ wysokość temperatury w pokoju wynosiła 19 stopni ciepła podług Celsjusza, na dworze zaś 27 stopni.

Zawartość wilgoci w powietrzu wymierzona za pomocą hygoometru wynosiła w pokoju 58½ stopni, na dworze zaś 51 st.

W ten sposób w pokoju temperatura była niższą o 8 stopni, powietrze zaś posiadało zawartość wilgoci większą o 6½ stopni, niż na dworze.

W tym dniu zaś, po założeniu „antihigrasmy" i wywarciu przez nią właściwego wpływu, stosunek pomiędzy temperaturą i zawartością wilgoci w pokoju i na powietrzu przedstawiał się jak następuje:

W pokoju 21 stopni ciepła podług Celsjusza, na dworze (w cieniu) 22 stopnie; w pokoju wilgoci 56 stopni, na dworze 56½

Różnica więc pomiędzy temperaturą w pokoju i na dworze zmniejszyła się do 1 stopnia, zaś zawartość wilgoci stała się w pokoju mniejszą, niż na powietrzu o ½ stopnia.

W ten sposób „antihigrasma" wywołała podniesienie się temperatury pokoju, w stosunku do temperatury zewnętrznej o 7 stopni i zmniejszenie się zawartości wilgoci w powietrzu pokojowem, w stosunku do wilgoci zewnętrznej o 8 stopni.

Rezultat godny uwagi.

Handel i przemysł.

*** W Jarosławiu, w dniach 18, 19, 20 i 21 września rb. odbędzie się walne Zgromadzenie Galicyjskiego Towarzystwa pszczelniczo ogrodniczego oraz Wystawa pszczelnicza i ogrodnicza.

Dział pszczelniczy będzie obejmował następujące przedmioty: I. Płody pszczelnicze surowe. II Płody przerobione. III. Pszczoły. IV. Ule próżne. V. Narzędzia pszczelarskie. VI. Przedmioty Naukowe.

Dział zaś ogrodniczy będzie obejmował: I. Nasiona warzyw, kwiatów, drzew i krzewów. II. Literatura. III. Środki pouczające, obrazy, modele i t p. IV. Sprzęty i narzędzia. V. Plany. VI. Zbior szkodników i okazów chorobliwych — a także wszystko co tylko odnosi się do sadownictwa, chmielnictwa, warzywnictwa, i ogrodnictwa ozdobowego.

Chcący wziąć udział w wystawie winni się zgłosić najdalej pod koniec sierpnia do *Komitetu wystawowego w Jarosławiu* z podaniem ilości okazów i żądanej przestrzeni. Miejsce na wystawie udzielone będzie bezpłatnie, jak również komitet zajmie się ustawianiem wcześnie nadesłanych obrazów bezinteresownie; koszta wszakże jakiegoś szczególniejszego ustawienia lub dekoracji, będzie obowiązany ponieść sam wystawca. Obrazy muszą być wysłane tak, ażeby co najpóźniej dnia 16 września znajdowały się w Jarosławiu. Zarząd centralny postara się o zniżenie cen kolejowych tak dla osób biorących udział bądź w wystawie bądź w walnem zgromadzeniu, jakoteż dla przedmiotów na wystawę przeznaczonych. O karty uczestnictwa, uprawniające w korzystaniu ze zniżonych cen kolejowych, należy się udawać do zarządu centralnego Galicyjskiego Towarzystwa pszczelniczo-ogrodniczego we Lwowie, ulica Łyczakowska L. 93, we wszystkich zaś sprawach dotyczących wystawy, należy się odnosić wprost do komitetu wystawowego w Jarosławiu, na ręce pana M. Kozłowskiego.

*** W Bremen w dniach 7, 8 i 9 sierpnia r. b. zbiera się powszechny kongres niemieckich rzemieślników.

*** Londyński międzynarodowy kongres telegraficzny zamknął dziś swoje obrady; podpisana konwencja obowiązywać będzie od dnia 1-go kwietnia 1880 r.

*** W Londyńskiej fabryce Galloway i sp. wykonany został olbrzymi teleskop, podobno największy jaki istnieje dotąd; kosztuje on 40.000 funtów szterlingów.

Statystyka.

*** Biuro statystyczne „Veritas" ogłasza spis okrętów zatopionych w maju r. b. I tak żaglowców zginęło: 28 angielskich, 15 amerykańskich, 12 francuskich, 10 włoskich, 7 niemieckich, 7 norwegskich, 6 duńskich, 5 hiszpańskich, 4 szwedzkie, 2 holenderskie, 1 austrjacki, 1 portugalski, 4 nieznanych pawilonów, razem 102. Parowców zatonęło: 9 angielskich, 1 niemiecki, 1 amerykański, 1 hiszpański, razem 12.

*** Tegoroczny przywóz złota i srebra w Rosji według danych urzędowych, reprezentuje sumę rs. 5,415.777; zaś wywóz rs. 2,749,871.

*** W Londynie według danych urzędowych, w roku ubiegłym zmarło z głodu 77 osób. Połowa tej cyfry przypada na kobiety. W większości wypadków ofiarami śmierci głodowej były dzieci i starcy.

*** Niedawno dokonany spis ludności wykazał, iż istnieje jeszcze 99,960 indjan rozrzuconych w różnych prowincjach Kanady. Angielska Kolombja liczy ich najwięcej, bo 35,153. Huronowie zdają się być nieodwołalnie skazani na zagładę. Pokolenie to, niegdyś tak potężne, liczy obecnie 290 wojowników.

*** W pierwszej połowie r. b. było w zjednoczonem królestwie Wielkiej Brytanji i Irlandji 8.990 wypadków zawieszenia wypłat. Z cyfry tej przypada 1553 na banki, wielkie przedsiębiorstwa i fabryki, a 7,437 bankructw na drobny przemysł.

*** W Paryżu dochód z poboru podatków wyniósł w czerwcu o 12 milionów franków więcej, niż było przewidziane budżetem.

*** W Berlinie w roku ubiegłym sędziowie rozjemczy otrzymali 11,993 skarg, więcej o 426 jak w roku 1877. Przez obustronną ugodę załatwiono 3,795 skarg. Przez odstąpienie od skargi zakończonych zostało 1,149 sporów. 7,000 spraw przesłano zwyczajnym sądom do załatwienia.

*** W roku 1878 wydano w Niemczech ogółem 13,912 dzieł nowych albo nowych edycyj dzieł dawniejszych; w liczbie tej było 1775 dzieł pedagogicznych, 1319 prawniczych, politycznych i statystycznych, 1246 teologicznych, 1181 ściśle literackich, 793 naukowych, 789 lekarskich i weterynaryjnych.

*** Obliczono, że w średnich wiekach tylko w ciągu 150 lat spalono przeszło 90.000 osób za czary.

W samej Anglji, od roku 1640 do 1660, ukarano śmiercią 3,000 mniemanych czarowników i czarownic.

W odszukiwaniu wiedźm odznaczał się w hrabstwie Sasseks, niejakich Hopkins.

Staraniem jego powieszono tam w ciągu jednego roku 60 wiedźm.

Wreszcie jednak mieszkańcom hrabstwa przyszło na myśl przekonać się, czy przypadkiem sam Hopkins nie jest czarodziejem.

W tym celu poczęto go pławić, a gdy nie natychmiast poszedł na dno — oburzony lud spalił go..

Nekrologja.

*** Zmarli:

† *Kazimierz Władysław Wójcicki* jeden z najstarszych i wielce popularnych naszych literatów dnia 1 sierpnia rb. w Warszawie.

Śp. Wójcicki na polu literatury ludowej skrzętnie przez pół wieku pracował, piękne jej strony odkrył i cenić ją nas nauczył. Był prócz tego przez długie lata jednym z kierowników „Bibljoteki Warszawskiej" opracował „Historję literatury polskiej", „Cmentarz Powązkowski", „Warszawa i jej życie umysłowe", a jako współpracownik wielu pism, napisał szereg rozpraw i wspomnień.

† Juljusz Kossarski, poeta i romansopisarz niemiecki w Bydgoszczy.

† Karol Lupwik Bernays, znany dziennikarz niemiecki od 1848 w Ameryce, czynny w Saint-Louis.

† Dr Pingaud, lekarz znany z doświadczeń z transfuzją krwi w Setif w Algerji.

† Henryk Leuthold poeta niemiecki w Szwajcarji pod Zurichem.

† Baron Poisson, założyciel muzeum Cartavalet, autor wyczerpującego dzieła o armji i gwardji narodowej w Paryżu.

† Wiliam Fothergill-Cooke, założyciel pierwszego angielskiego towarzystwa elektryczności, za prace naukowe podniesiony do stanu szlacheckiego w Londynie.

† Henryk Smert, znany kompozytor; rząd, w uznaniu jego zasług, przyznał mu roczną pensję w sumie 100 funtów szterlingów w Londynie.

† Księżna Colonna di Castiglione, znana w świecie artystycznym pod imieniem Marcella w Castellamare.

ROZMAITOŚCI.

*** Pamiątki po Kościuszce. Muzeum w Rapperswilu, które posiada liczne pamiątki po Kościuszce, niedawno nabyło także łóżko, w którem wielki wódz i patrjota zakończył życie d. 1817 w Solurze. Dwaj notarjusze solurscy poświadczyli w sposób urzędowy autentyczność tej pamiątki. Oprócz łóżka, nabyło rzeczone muzeum polskie ozdoby bronzowe i tapety z mieszkania Kościuszki, a od dawna już posiada liczne tegoż autografy i korespondencje, rachunki prywatne, faksimile testamentu i dokumentu, którym Kościuszko uwolnił włościan w swych dobrach od pańszczyzny (oryginały ostatnich dwóch dokumentów znajdują się w archiwach kantonu solurskiego); dalej kilka oryginalnych portretów jenerała z różnych epok jego życia, jego włosy, jego wyroby z czasu niewoli rossyjskiej, jego biust ofiarowany mu przez oficerów legjonów polskich w roku 1800 z napisem: „Walczył tylko o wolność i o prawa człowieka," obraz Casanowy, przedstawiający bitwę pod Racławicami, który zdobił niegdyś jeden z pokojów Kościuszki, a nareszcie ziemię z kopca w Krakowie, w którym spoczywają popioły jenerała. Obecnie zarząd muzeum rapperswilskiego nosi się z myślą sporządzenia dokładnej kopji pokoju sypialnego Kościuszki. Myśl ta ma być urzeczywistnioną przy restauracji górnych piętr zamku rapperswilskiego.

*** W Lipsku w dniu 20 b. m. ukończono turnieje szachowe. Pierwszą nagrodę (600 marek) przyznano Englischowi z Wiednia, drugą (300 marek) Paulsenowi, trzecią (150 marek) Szwarcowi z Wiednia. Następny kongres odbędzie się w Berlinie w roku 1881.

*** Dzienniki amerykańskie opisują skok, jaki wykonał Herman Peer. Zaopatrzywszy się w pas ratunkowy oraz podwiązki gumelastyczne na nogach i pozatykawszy sobie usta, nos i oczy gąbką, rzucił się uwiązany do liny z mostu łańcuchowego nad wodospadem Niagary w spienione nurty tej rzeki z wysokości 192 stóp. W trzy i pół sekundy doleciał do rzeki, następnie znurzył się 11 stóp pod poziom i niesiony prądem o 50 stóp poniżej miejsca, w którem znikł pod wodą pojawił się znowu na powierzchni rzeki. Herman Peer wyszedł cało i zdrowo z tego niebezpiecznego eksperymentu. Zamierza on go powtórzyć.

*** W tych dniach odbyły się w Londynie wyścigi pływaków angielskich, trwające przez cały tydzień, po 14 godzin dziennie. Zwycięzcą był Webb, który w ciągu tygodnia upłynął 74 mil angielskich. Druga nagroda przyznana została młodemu żeglarzowi Fearne, który w tym samym czasie upłynął 62 mile angielskie.

*** Na wielkich wyścigach paryskich, odbytych w lasku Bulońskim, zwyciężyły same konie francuskie. Pierwszą nagrodę wziął ogier „Nubienne" p. Blanca, drugim był „Salteador", trzecim „Flavio". Konie angielskie tym razem pobite.

*** W Brukseli 22-go czerwca. Podczas przedstawienia znanego linoskoczka Blondina w ogrodzie zoologicznym zawaliła się drewniana trybuna; bardzo wiele osób poniosło ciężkie uszkodzenia, zagrażające ich życiu.

*** W Wiedniu podczas ćwiczeń popisowych w używaniu pocisków wybuchających w wiedeńskiej akademji wojskowej pękł jeden taki pocisk w ręku nieostrożnego ucznia. Profesor kapitan Klar i czterej uczniowie doznali mniej lub bardziej ciężkich uszkodzeń. Kapitan Klar mianowicie otrzymał 20 ran, a jeden z wychowańców szkoły stracił prawe oko.

*** Kancelaryzm. Z dziwną usilnością, ziemianie wprowadzili ongi u siebie porządki kancelaryjne — piszą „St-Pet. wied." — Oto dokument, wyjęty z „Russkiej stariny" za lipiec:

Zarząd domu jego jasności, grafa Lwa Iwanowicza Sołonuba.

Wydział gospodarczy. Stół IV. 19 czerwca r. 1825 N. 3751.

Jego wysokografskiej jasności, grafowi Lwowi Iwanowiczowi, najwszech poddańniejsze doniesienie.

Dnia dzisiejszego, włościanin waszej jasności, Trifon Abramow, od lat dawnych zajmujący się polowaniem na ptaki, przyniósł w darze dla stołu waszej jasności cietrzewia głuchego, przezeń zastrzelonego; wydział gospodarczy, mając szczęście donieść o tem

waszej jasności, będie oczekiwał w tym przedmiocie naczelniczego waszego rozkazu.

Zarządzający zarządem: Andrijan Zinowjew.

Rządca wydziału: Makar Sidorow.

Rezolucja: Włościaninowi Trifonowi Abramowowi za gorliwość jego wydać pół rubla; a cietrzewia głuchego, jak przynależy, oddać do lodowni do przyszłego rozkazu mojego.

20 czerwca. *Graf Lew Sołohub.*

---

21 czerwca r. 1825.
N. 3755.
O zachowaniu, do przyszłego rozkazu jego jasności, cietrzewia głuchego.

Z oddziału gospodarczego jego jasności do klucznicy Fiokły Warfołomiejówny
Order.

Na skutek własnoręcznej jego jasności rezolucji, na raporcie tego wydziału, dnia 20 czerwca bieżącego nastąpionej i podług decyzji, na ogólnem posiedzeniu zarządu domu jego jasności zapadłej, masz dołączonego przy niniejszem cietrzewia głuchego zachować, jak przynależy, w lodowni, do przyszłego rozkazu jego jasności, i w razie najlżejszego zepsucia onego donosić wydziałowi. W razie przeciwnym ściągniesz na siebie gniew jego jasności i karę najsurowszą.

Rządca wydziału: Makar Sidorow.

(Ale cietrzew rozkładać się zaczął chemicznie o czem doniesiono grafowi, a ten tak odpowiedział:)

Podejrzewam nadużycie; a zatem rozkazuję urzędnikowi do osobnych zleceń, Ignaszce Skorochwatowi, zarządzić najsurowsze śledztwo, wespół z członkiem wydziału medycznego, cyrulikiem Griszką, i, co wykrytem przez nich zostanie, o tem najszczególniej mi donieść.

29 czerwca r. 1825. *Graf Lew Sołohub.*

*** Gniazdo w wagonie.

O szczególniejszym fakcie z życia zwierzęcego opowiada wiarogodny świadek w czasopiśmie *Eisenb Zeitung.*

„Służba pociągu, który codziennie odbywa drogę pomiędzy Wiedniem a Stockerau, podziwia wielką w swoim rodzaju osobliwość, która też powinna wzbudzić żywe zajęcie w szerszych kołach, zwłaszcza ornitologów.

Wspomniany pociąg używany jest wyłącznie do komunikacji pomiędzy dwiema wymienionemi stacjami i składa się stale z tych samych wagonów.

Otóż ilekroć przybędzie z Wiednia na stację Stockerau, przyjmowany jest radosnym świegotem pary jaskółek, która okrąża go, dopóki nie stanie, a następnie bez ceremonji wchodzi do oddziału pakunkowego w wagonie nr. 185, gdzie już prawie ukończyła budowę swego gniazdka.

Kiedy wagon odchodzi z pociągiem ze Stockerau, jaskółeczki opuszczają go same i aż do czasu powrotu na stację gromadzą spokojnie materjał na gniazdko.

Wiele osób bywa codziennie świadkami tej osobliwszej fantazji ptasząt, a gniazdko ich wagonowe jest jak najtroskliwiej szanowane“.

*** Ella Zoyara.

W tych dniach w jednem z miast północnej Ameryki zmarła tegoż nazwiska, głośna woltyżerka, która — *horribile dictu!* była... mężczyzną.

Ella Zoyara — według pozostałych papierów jest... Oswaldem Kingsley, a *San Francisco Ball,* dziennik dobrze poinformowany, opowiada o niej — czy o nim — następujące szczegóły.

Kingsley urodził się w roku 1840 w San Louis.

Dziesięcioletnim będąc chłopcem, nie mógł się oprzeć pociągowi do sztuki i wstąpił do trupy Sperner Stocker w Filadelfji.

Sprytny impresario, spostrzegłszy jego prześliczną dziecięcą postać, długie spadające na ramiona loki i uśmiech prawdziwie niewieści, nazwał go Ellą Zoyara i pod tym pseudonimem rozpoczął pokazywać światu.

Chłopiec był cudownie piękną... dziewczyną.

W Moskwie pewien kupiec dziesiątkami tysięcy rubli okupił przyjemność przedstawienia się Kingsley'owi.

W produkcjach jego (albo jej), zasmakował też *Regalantuomo* i zaprosił go do pałacu, dokąd Kingsley przybył wraz z towarzyszką.

Śliczny czarny koń był nagrodą tej wizyty.

Wszystko to bardzo dobrze; do czasu można było dać się zmistyfikować, ale jak brać trzydziestoośmioletniego mężczyznę za... piękną kobietę, tego już zrozumieć nie można.

Może *San Francisco Ball* to wytłómaczy.

*** Kobieta kwartet.

Nieraz zdarza się na małomiejskich jarmarkach spotkać człowieka, który ma pretensję być całą orkiestrą.

Ubrany w kołpak, u którego zawieszony tak zwany tryanguł, za każdem poruszeniem głowy dzwoni przenikliwie, na plecach niesie wielki bęben, w który uderza pałką przytwierdzoną u łokcia prawej ręki, podczas gdy lewy łokieć opatrzony jest w mosiężny talerz, uderzający o drugi taki przyczepiony do bębna, u nóg obwiązane różnej wielkości dzwonki stanowią uzupełnienie tak zwanej janczarskiej muzyki, ręce pozostają wolne do akordowania a do chustki okrążającej szyję odpowiednio przytwierdzony jest złożony z kilku różnej długości rurek tak zwany *flute de Pan*, na którym ów uniwersalny artysta wygrywa niebardzo melodyjne tryle, przesuwając usta nad owemi piszczałkami...

Wszystko to tworzy pewien rodzaj nienajprzyjemniejszej kociej muzyki, ale jarmarczna gawiedź słucha i rzuca grosze, na które doprawdy dość ciężko musi pracować ów „człowiek orkiestra“.

Dziś w Paryżu znajduje się coś podobnego, ale w daleko wyższym stopniu nadzwyczajności.

Jest to młoda kobieta, amerykanka, nazwiskiem Teresita Patchwork, którą natura obdarzyła trzema parami rąk i dwiema parami nóg.

Ten nadzwyczajny fenomen jest żyjącym, kompletnym kwartetem.

Teresita siedząc gra dwiema rękami na fortepianie, dwiema drugiemi wykonywa z wielkim talentem partję skrzypcową, trzecią parą rąk, którą ma z tyłu, gra na altówce, a za pomocą czterech nóg wybornie odgrywa akompanjament na wiolonczeli. Ten żywy kwartet zamierza dawać w Paryżu koncerty tak zwanej *musique de chambre*, albo występować na którym z teatrów.

Miss Teresita Patchwork przed rokiem odziedziczyła 250,000 fr., które jej zapisał w testamencie bogaty lord M., któremu odmówiła jednej z swoich rąk.

TRUCIZNA ŻYCIA.

Z Australji otrzymujemy wiadomość o nowem odkryciu, które, jeżeli się należycie wypробuje, będzie stanowiło jedną z najważniejszych i najbardziej zdumiewających zdobyczy współczesnej umiejętności i handlowi między Europą i Australją zgotuje olbrzymią przyszłość.

W jednej z licznych przystani tak zwanego Middle Harbour, w pobliżu Sydney, robią obecnie doświadczenia, które, jeżeli się powiodą, zapewnią Australji rozkwit o jakim marzyć nie śmiała.

Niejaki p. Rotura odkrył w południowej Ameryce truciznę roślinną, zdolną sprowadzić pozorną śmierć na zwierzęta i utrzymującą je w tym stanie tak długo, dopóki zapuszczeniem trucizny przeciwdziałającej nie obudzimy w nich na nowo obiegu krwi i funkcji serca; w ten sposób będzie można tamtejsze zwierzęta przewozić do Europy w stanie przejściowego obumarcia.

Rotura twierdził, że działanie jego trucizny jest tak skutecznem, iż w ciepłym klimacie po ośmiu dniach już ukazuje się na kończynach ustroju zwierzęcego pewien rodzaj zgnilizny, że jednak skoro przechowamy zwierzę w pewnym, odpowiednio nizkim stopniu ciepłoty, zwierzę zatrute może miesiące, a nawet lata utrzymać się przy życiu; dodawał wszakże, iż doświadczeń takich jeszcze nie przedsiębrał i dlatego nie wie, jak wielki wpływ ciepłoty na życie zwierząt w podobnych warunkach wywrzeć może?

Ażeby dostarczyć niezwłocznie dowodu na prawdę słów swoich, wstrzył Rotura małemu pieskowi dwie krople płynu zmieszanego z gliceryną do rany w uchu; w 3—4 minuty potem zwierzę zupełnie zesztywniało, bezwładnie rozpostarło nogi, zamknęło oczy, rozszerzyło pupile i nabrało w ogóle wszelkich pozorów zgonu, uskutecznionego otruciem za pomocą strychniny, tylko bez poprzedzających takowe oznak bólu.

Następnie podjęto ostrożnie pieska i umieszczono do następnego dnia w bezpiecznem miejscu.

Przez całą dobę robiono nad nim spostrzeżenia, ślady życia jednak nie dały się odkryć, serce przestało bić zupełnie, a ciepłota ciała spadła w pierwszych czterech godzinach do 25° Fahrenheita, poniżej przeciętnej temperatury ustroju zwierzęcego.

Gdy Rotura nazajutrz przyszedł do izby, ciało przyjęło zwyczajną ciepłotę organizmu martwego.

Teraz włożono połowę zwierzęcia do naczynia z wodą ogrzaną (32° F.), celem przywrócenia ciepłoty krwi, a następnie zastrzyknięto w ranę na karku truciznę przeciwdziałającą.

Skutek był nadzwyczajny.

Naprzód pokazało się znowu życie w oku, po pięciu minutach poczęła pierś oddychać, członki utraciły swoją sztywność, pies począł wywijać ogonem, podniósł się i raźnie pobiegł, jakby go nic nadzwyczajnego nie spotkało!

I późniejsze doświadczenia uwieńczone zostały równie pomyślnym skutkiem, pokazało się przytem, że wprawdzie siła życia doznaje ciężkiego ciosu przez takie wyziębienie ciała, że jednak wszystko to jedno jak długo zwierzę w stanie zupełnego wyziębienia pozostaje.

Obecnie robią dalsze doświadczenia na owcach, jagniętach i świniach.

W przytomności sprawozdawcy tamtejszego dziennika owcę, która przez dni 19 leżała dotknięta pozorną śmiercią, w dziesięć stóp długiej a ośm stóp szerokiej, ciemnej komorze, przeniesiono do ocementowanego zbiornika z wodą, w którym termometr regulował dokładnie ciepłotę, po 23 minutach, w którym to czasie po dwakroć wynurzano głowę zwierzęcia z wody, celem zmierzenia ciepłoty w jamie ustnej, położono ją na ziemi, a Rotura wykroił w karku ranę, w którą wsączono jako przeciwtruciznę, jasno-zielony płyn, ekstrakt korzenia rosnącej w południowej Ameryce rośliny „astrarchalis.“

Następnie położono owcę, której oczy podczas tych dni 19 nie utraciły nic ze swego blasku, na grzbiecie w taki sposób, że Rotura kolanami i rękami mógł ugniatać łagodnie po obu stronach jej żebra, ażeby wspomagać czynność płuc przy oddechaniu.

Już w 10 minut poczęło się zwierzę poruszać a za chwilę wyskoczyło do ogrodu.

Ważność tego odkrycia dla przewozu żywych zwierząt do Anglji jest nieobliczoną; teraz bowiem będzie można ładować całe okręty żywemi owcami, bo nawet uszkodzenie aparatu oziębiającego w ciągu 8—10 dni podróży nie przyniesie szkody ładunkowi.

W ten sam sposób będą przewozić się woły.

Czy eksperyment ten wywiera wpływ jakowy na trwałość życia zwierzęcego, nie zostało dotąd wyświeconem; Rotura jednak sądzi, że wpływu zgubnego nie ma.

Obecnie udał on się ze Sydney do południowej Ameryki, ażeby zaopatrzyć się tam we większe zasoby obu trucizn, których składniki są jeszcze tajemnicą; po powrocie jego przystąpią zapewne niezwłocznie do wszechstronnego wyzyskiwania szczęśliwego odkrycia.

Treść Nr. 28.

Z drukarni Dziennika Polskiego, pod zarządem Leona Zubalewicza. Wydawca i odpowiedzialny Redaktor Mikołaj Biernacki.